W numerze: Lek na mitomanię • Obudzona wrażliwość czyli Janka • Działalność wywiadu III Rzeszy w łódzkim przemyśle • Notatki z Bułgarii • Żeromski w filmie • Uśmiech • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

Nr 2 (358)
17. I. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

BY NIGDY WIĘCEJ nie powtórzył się RADOGOSZCZ

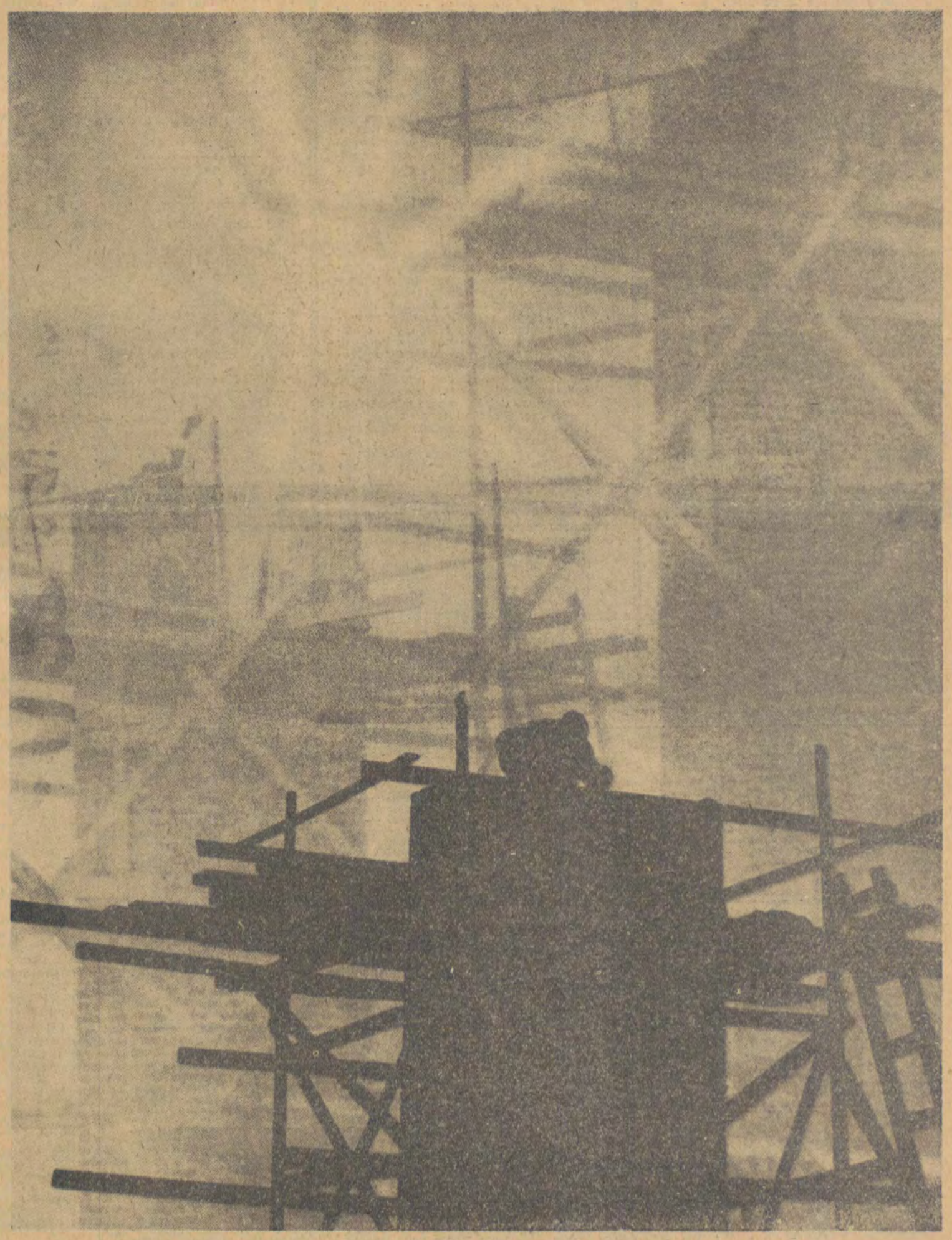

To już dwadzieścia lat jak spod Warki, Kazimierza i Staszowa ruszyła rozstrzygająca ofensywa, ofensywa wyzwoleńcza. I bardzo trafnie środowisko naukowe Łodzi wybrało termin swej uroczystej międzyuczelnianej sesji — 11—12 stycznia br. — poświęconej miastu i drodze, jaką przebyło ono od owych styczniowych dni 1945 roku.

Wyzwolenie Łodzi i Ziemi Łódzkiej przyszło 19 stycznia, ale przecież nie byłoby tej daty historycznej w dziejach naszego miasta i województwa, gdyby nie potężne uderzenie sił radzieckich i jednostek Wojska Polskiego w dniu 12 stycznia. Uderzenia, które zadecydowało, że hitlerowska obrona na linii Wisły musiała runąć.

20 lat temu, tydzień poprzedzający wyzwolenie Łodzi był już brzemienny w historyczne wydarzenia. W tym czasie załogi hitlerowskie zaczęły już uciekać z Łodzi i podłódzkich miasteczek. Ten tydzień rozstrzygał o wyzwoleniu reszty ziem polskich i o zwycięskim pochodzie na Berlin.

Świat nauki, przedstawiciele wyższych uczelni łódzkich, którzy uczestniczyli w sesji, poświęconej miastu i regionowi, zawarł w referatach i opracowaniach naukowych najważniejsze problemy gospodarcze i kulturalne, społeczne i polityczne — jakże istotne dla całego dwudziestolecia po wyzwoleniu. Był to bogaty przegląd dorobku zarówno w dziedzinie umacniania się władzy ludowej w mieście i w terenie (referat dr T. Szymczaka), przemian społecznych i klasowych (prof. dr J. Szczepański), procesów rozwojowych łódzkiego ośrodka uniwersyteckiego i kulturalno-oświatowego (doc. dr Kloskowska), jak i w dziedzinie wzrostu gospodarczego potencjału miasta, jego przemysłu, zmian strukturalnych w nim zachodzących i rozwoju techniki (dr Wł. Piotrowski i prof. M. Chwalibóg).

To już dwadzieścia lat, o tyle lat jesteśmy starsi, a przecież ciągle młodzi. Młodzi niespożytą energią tworzenia nowego, pracą nad usunięciem śladów wiekowych zaniedbań, nad przekreślaniem złej przeszłości „złego miasta".

Przy szerokim poparciu i uznaniu potrzeb miasta i województwa ze strony partii urzeczywistniamy program, możliwy do urzeczywistnienia tylko w warunkach pokoju i tylko na drodze socjalistycznych przemian — tak w budownictwie materialnej bazy rozwojowej naszego społeczeństwa, jak i w kształtowaniu nowego człowieka — w umysłach i sercach ludzkich.

Społeczeństwo Łodzi w tych dniach XX-lecia wyzwolenia czci pamięć poległych żołnierzy radzieckich i polskich, którzy oddali życie i krew za wielką sprawę rozgromienia faszystowskich ludobójców, składa hołd cieniom pomordowanych w Radogoszczu i w innych miejscach kaźni. W tych dniach rocznicowych zakwitają kwiaty w radogoskim mauzoleum, u stóp Pomnika Wdzięczności w parku Poniatowskiego, a kwiaty to nasze uczucia i nasza pamięć. Jednocześnie zwróćmy uwagę i na to, że z okazji XX-lecia wyzwolenia uruchamiamy nowe zakłady przemysłowe (w Łasku, Wieruszowie, Poddębicach), symbolizując tym niejako, że ofiary wojny umożliwiły nam pracę w pokoju.

Szkole przy ulicy Przybyszewskiego w Łodzi społeczeństwo Łodzi nada imię generała Kołpakczi, którego armia w pamiętnych dniach stycznia wyzwoliła miasto. Będzie więc tak, że młodzież chodząca do tej szkoły stanie się żywym ucieleśnieniem wdzięczności dla żołnierzy i ich dowódcy, niosących nam wolność, stanie się trwałym pomnikiem w historii Łodzi powojennej.

Ale społeczeństwo nasze nie może również nie oburzać się na poczynania zachodnioniemieckich rewizjonistów i militarystów, którym marzą się nowe awantury, nowe prowokacje. Nie może nie potępić usiłowań zmierzających do przedawnienia zbrodni hitlerowskich z okresu ostatniej światowej pożogi. Oddaliśmy się bez reszty pokojowej pracy nad ostatecznym zaleczeniem ran, likwidacją skutków tej pożogi i z całą ufnością solidaryzujemy się z polityką naszego obozu, obozu postępu i pokoju po to, aby nasze miasta były jeszcze piękniejsze, aby ludziom, budującym nowe życie w warunkach ustroju socjalistycznego żyło się jeszcze lepiej, aby nigdy więcej nie powtórzył się Radogoszcz.

ze ŚWIATA

Oczekiwane zawsze z dużym zainteresowaniem orędzia noworoczne polityków Zachodu właściwie nie wniosły nic nowego. Mimo to komentator nie może przejść wobec nich obojętnie. Tym bardziej, że niektóre fragmenty np. orędzia o stanie państwa prezydenta Johnsona wzbudziły żywe, żeby nie powiedzieć szokujące, reakcje.

Prez. Johnson tylko trzecią część swojego orędzia poświęcił problematyce międzynarodowej. Ten fragment jednak może być interesujący nie tylko z uwagi, co w nim powiedziano i jak powiedziano, lecz także z uwagi na to, czego nie powiedziano. I tak na przykład przemilczane zostały: sprawa stosunków USA — Kuba, problem kongijski, wielostronne siły nuklearne NATO...

Z faktu tego można wysnuć jednoznaczne wnioski o płynnych jeszcze, nieustabilizowanych założeniach polityki zagranicznej USA.

Odnosi się to w pewnej mierze również do problemu niemieckiego, który w orędziu potraktowany został jak gdyby marginesowo.

„General Anzeiger" wylicza np., że spośród 4.875 słów, wypowiedzianych przez prezydenta, sprawie Niemiec poświęcono dokładnie 10. Czy trzeba dopowiadać, dlaczego w Bonn — o czym informują agencje — orędzie wywołało prawdziwy szok?

Johnson, jak przed czterema laty Kennedy, z jednej strony zapowiedział wzrost potęgi militarnej USA („...Będzie ona rosnąć dopóty, dopóki ja sprawować będę ten urząd..."), z drugiej — podkreślił możliwość i konieczność „pokojowego zrozumienia wzajemnego" i „dalszych porozumień pokojowych" ze Związkiem Radzieckim („...Zeszłej jesieni prosiłem naród amerykański, by obrał ten kierunek. Wypełnię jego polecenie").

Prezydent Stanów Zjednoczonych skierował także zaproszenie pod adresem kierownictwa radzieckiego do nawiązania osobistych kontaktów, co wydaje się być zapowiedzią „personalnej dyplomacji" na rok bieżący.

Stwierdził on ponadto, że z pewnością będzie to rok „intensywnej działalności na odcinku zagranicznym".

(W podobnym duchu opowiedział się zresztą prezydent de Gaulle w noworocznej rozmowie z dziennikarzami w Pałacu Elizejskim, oświadczając: „Mogę was zapewnić, że nie będzie to nudny rok", co z uwagi na szczególną rolę Francji w atlantyckiej wspólnocie komentowane jest wieloznacznie).

Szkoda tylko, że prezydent Johnson mówiąc o „intensywnej działalności" nie zawsze miał na myśli działalność pokojową. I tak np. wielce rozczarowująca jest zapowiedź kontynuowania interwencji militarnej w Południowym Wietnamie.

Orędzie johnsonowskie niemal zbiegło się z kolejną porażką wojsk południowowietnamskich w walce z partyzantami, ogłoszeniem przez agencje amerykańskie bilansu strat w roku 1964 (prawie 27 tys. zabitych żołnierzy wojsk reżimowych) i bardzo ciekawą ankietą przeprowadzoną wśród senatorów na temat ich stanowiska wobec polityki USA w Wietnamie.

Tej ostatniej poświęćmy kilka słów.

Na pytania ankiety odpowiedziało 81, spośród 100 senatorów. Jak podają źródła zachodnie, „ostrożnie, często niechętnie, poparli oni tę politykę, wyrażając jednak przekonanie, że muszą nastąpić negocjacje".

Uogólnienie to, jak zresztą każde, nie odzwierciedla jednak myśli senatorów. Dlatego też zacytujmy niektóre z wypowiedzi:

„Nasza obecna polityka wiedzie nas do takiej samej klęski, jaka była udziałem Francuzów przed 10 laty".

„Być może powinniśmy powiedzieć: do diabła z tym wszystkim i wycofać się stamtąd".

„Doprawdy nie wiem, jak zsiąść z tego tygrysa...".

„Akceptowałbym rozwiązanie, oparte na neutralizacji lub wycofaniu się...".

Już tylko z przytoczonych opinii wynika chyba jasno, że polityków amerykańskich coraz bardziej nurtują myśli o odwrocie. I jest to nieuniknione, jeśli nie chce się, by Wietnam rozgorzał międzynarodowym pożarem. Im wcześniej odtrąbi się ten odwrót — tym oczywiście lepiej dla sprawy pokoju.

Tak się złożyło, że w dzisiejszym komentarzu międzynarodowych wydarzeń raz jeszcze musimy powrócić do Stanów Zjednoczonych. Przystąpiliśmy bowiem do pracy nowy Kongres, wybrany w listopadzie ub. roku i warto poświęcić jemu kilka uwag.

Wysokie zwycięstwo wyborcze partii demokratycznej sprawiło, że Johnson dysponuje największą przewagą, jaką miał prezydent USA od 1936 r. Układ ten wyrażają liczby: 68 demokratów w Senacie (na 100 senatorów) i 295 w Izbie Reprezentantów (na 435 kongresmenów).

Takie proporcje stworzyły pewne komplikacje proceduralne, z którymi w komisjach Kongresu poradzono sobie na przykład w ten sposób, że znacznie zwiększono liczbę członków. Umożliwiło to zachowanie właściwego stosunku — 2:1 na korzyść demokratów (dawniej — 3:2) przy równoczesnym niepozbawianiu republikanów dotychczasowych stanowisk.

Z długiego szeregu liczb, obrazujących układ klasowy w wyższej i niższej izbach Kongresu, zapamiętajmy przede wszystkim: w Izbie Reprezentantów jest tylko jedna osoba, która — jak pisze Zygmunt Broniarek w korespondencji z Waszyngtonu — „choćby z daleka przypomina klasę robotniczą: mechanik z zawodu...". Pozostali, to przeważnie adwokaci i businessmeni.

Jeśli chodzi o ludność kolorową — to w Senacie nie ma ona ani jednego reprezentanta, w Izbie — zaledwie sześciu.

Fakty te mówią same za siebie...

Obecny skład polityczny Kongresu daje Johnsonowi niemal nieograniczone możliwości przeprowadzania swojego programu. Czy będzie z nich korzystał? Wydaje się, że raczej pozostanie wierny wypowiedzianej wcześniej zasadzie: wynik wyborów „nie jest mandatem do nowatorskiego, nieostrożnego kursu"... Chciałby więc Johnson osiągnąć w Kongresie „ogólną zgodę". Wobec jednak bardzo wojowniczego kursu goldwaterowców nie jest to chyba możliwe...

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

NIEDZIELA, 3 STYCZNIA

Komentując wizytę ministra Adama Rapackiego w Londynie, austriacki tygodnik „Wochenpresse" pisze: „Od lat żaden polityk bloku wschodniego nie był w Londynie tak przyjaźnie przyjmowany. Premier Wilson i minister spraw zagranicznych Gordon Walker powitali polskiego ministra jak starego sprzymierzeńca, a nie jak ideologicznego przeciwnika".

Władze indyjskie przystąpiły do masowych aresztowań działaczy prochińskiego ugrupowania KPI. Według opinii indyjskich kół rządowych podjęte represje wiążą się z zaostrzeniem sytuacji na granicy indyjsko-chińskiej. Obserwatorzy polityczni w Delhi natomiast, łączą akcję rządu Shastri z pogłębiającymi się trudnościami gospodarczymi Indii oraz perspektywą zbliżających się wyborów w stanie Kerala, gdzie partia kongresowa posiadała niewielkie szanse pokonania komunistów.

PONIEDZIAŁEK, 4 STYCZNIA

Zwycięska dla partyzantów wietnamskich bitwa pod Binh Gia stanowi „najbardziej okrutny etap rozczarowań Stanów Zjednoczonych" — pisze paryskie „Nation". Prasa francuska podkreśla przy tym, że walka zbrojna Vietcongu przybiera obecnie charakter wojny i pod tym względem można mówić o wejściu jej w nowy etap, który dla Francuzów w swoim czasie zakończył się klęską pod Dien Bien Phu.

Zapytany w czasie konferencji prasowej o swoje lektury świąteczne de Gaulle, odpowiedział, że czytał „Spiżową bramę" Tadeusza Brezy. Po czym, mówiąc o autorze, prezydent dodał: „Jest to umysł szeroki i ścisły, a jego dzieło ma dużą wartość".

Komentując zapowiedź rządu Sukarno o wystąpieniu Indonezji z ONZ dziennik „Indonesian Herald", mający opinię organu zbliżonego do indonezyjskiego MSZ zwraca uwagę, iż krok Indonezji jest protestem przeciwko wykorzystywaniu ONZ przez „imperialistów, kolonialistów i neokolonialistów dla realizowania ich polityki dominacji", demonstracją „braku zaufania do ONZ jako organizacji mającej dbać o bezpieczeństwo i dobrobyt wszystkich krajów zarówno dużych jak i małych".

WTOREK, 5 STYCZNIA

Chiny zamówiły w jednej ze stoczni brytyjskich dwa motorowce o wyporności 15 tys. DWT. Jest to pierwsze zamówienie tego typu w Anglii. Dotychczas ChRL zamówiła jeden podobny statek w Holandii, a dwa nieco mniejsze we Francji. Brytyjskie koła przemysłowe mają nadzieję, iż wspomniane zamówienie jest być może zapowiedzią dalszych.

Stany Zjednoczone odrzuciły propozycję rządu ChRL w sprawie podpisania przez oba kraje zobowiązania, iż żadna ze stron nie użyje pierwsza broni atomowej przeciwko stronie drugiej.

Wysiłki ambasadora Taylora na rzecz pojednania skłóconych polityków i wojskowych w Sajgonie nie przyniosły rezultatów. Buddyści i studenci zaś podjęli nową ostrą kampanię antyrządową.

Bank administrowany wyłącznie przez kobiety i dla kobiecej klienteli powstał w Edynburgu w Szkocji. Panom do banku wstęp wzbroniony.

„Ludzkość dzisiejsza w imionach Seebohm i Strauss personifikuje to, co jest nieludzkie" — stwierdził Martin Niemoeller, były prezydent kościoła ewangelickiego w Hesji.

ŚRODA, 6 STYCZNIA

„Zazwyczaj słyszymy, iż winę za nasze braki ponosi wybujała biurokracja. Trzeba jednak zrozumieć, iż biurokracja rodzi się i rozrasta wszędzie tam, gdzie nie respektuje się obiektywnych praw ekonomicznych" — z przemówienia członka Prezydium KC KPCz. Z. Fierlingera.

Kubańskie ministerstwo przemysłu wydało zarządzenie, na mocy którego ministrowie poszczególnych działów, wyżsi urzędnicy oraz kierownicy przedsiębiorstw podlegających ministerstwu przez miesiąc w roku zatrudnieni będą w fabrykach lub warsztatach.

Nawiązując do „nieurzędowego zaproszenia" wystosowanego do przywódców radzieckich przez Biały Dom do odwiedzenia Stanów Zjednoczonych, korespondent AP sygnalizuje gotowość strony amerykańskiej rewizytowania ZSRR. „Funkcjonariusze amerykańscy stwierdzają — czytamy w korespondencji — iż gdyby Związek Radziecki wystąpił z tego rodzaju inicjatywą, to zaproszenie radzieckie będzie przychylnie rozpatrzone".

CZWARTEK, 7 STYCZNIA

W belgradzkiej „Borbie" ukazał się artykuł na temat nowej linii politycznej przywódców kubańskich w dziedzinie stosunków międzynarodowych. Linia ta, zwana „integralnym współistnieniem" zakłada konieczność zdecydowanej i zsynchronizowanej akcji krajów socjalistycznych i ruchów wyzwoleńczych przeciw imperializmowi, odpowiedzi „ciosem na cios", zamknięcia imperializmu w jego własnych granicach.

Światowa produkcja ropy naftowej wynosiła w 1964 roku 1406 mln ton. Przewiduje się, że wydobycie w 1965 roku osiągnie poziom 2 miliardów ton.

Rząd norweski opracował projekt ustawy o udziale załóg przedsiębiorstw państwowych w zarządzaniu tymi przedsiębiorstwami. Projekt przewiduje prawo załogi do wyboru jednej trzeciej składu zarządu przedsiębiorstwa. Do kompetencji przedstawicieli załogi w zarządzie należeć będzie m. in. współdecydowanie w sprawach inwestycji, jakości i wysokości produkcji itp.

Dwie firmy amerykańskie zawarły wstępne porozumienie z rządem Rumunii w sprawie budowy w tym kraju zakładów syntetycznego kauczuku i rafinerii ropy naftowej.

PIĄTEK, 8 STYCZNIA

Prezydent Indonezji Sukarno oświadczył w przemówieniu wygłoszonym na wielkim wiecu w Dżakarcie, iż Indonezja formalnie wystąpiła z ONZ i wszystkich wyspecjalizowanych agend tej organizacji.

„Syzyfowa praca"

ZSRR i W. Brytania podpisały układ o współpracy w dziedzinie badań w rolnictwie. Porozumienie przewiduje wymianę informacji i materiału naukowego, wymianę delegacji naukowych wyznaczenie w Związku Radzieckim i W. Brytanii centrów koordynujących współpracę. „Daily Mirror" stwierdza, że jest to pierwszy tego rodzaju układ na świecie.

Produkcja przemysłowa Rumunii podniosła się w 1964 roku o 14 proc. w stosunku do roku 1963. Założenia planu na rok 1965 przewidują dalszy jej wzrost o 13 proc. i osiągnięcie poziomu 2,25 razy wyższego niż w 1959 r.

Chiński dziennik „Żeminżipao" komentując decyzję rządu Sukarno wystąpienia Indonezji z ONZ, stwierdza: „wycofując się z ONZ Indonezja w pełni potwierdziła swą niezależność i suwerenność. Naród chiński zdecydowanie popiera ten słuszny krok rządu indonezyjskiego".

SOBOTA, 9 STYCZNIA

Podczas obrad zjazdu Indyjskiej Partii Kongresowej wielu mówców wskazywało, iż partia ta nie umiejąc uporać się z kryzysem żywnościowym Indii traci kontakt ze społeczeństwem. Uczestnicy zjazdu wskazywali w prywatnych rozmowach, że jedyną partią dostatecznie zorganizowaną do objęcia władzy w wypadku, gdyby Partia Kongresowa zawiodła zaufanie społeczeństwa jest partia komunistyczna.

Dziennik „Żeminżipao" wyraża uznanie dla wielu wysokich urzędników przedsiębiorstw i instytucji pekińskich za aktywne uczestnictwo w kampanii pracy fizycznej. Praca fizyczna — zwraca uwagę dziennik — jest jednym z podstawowych warunków zwalczania biurokracji, rewizjonizmu i dogmatyzmu.

POLONICA

WANDA WIŁKOMIRSKA W WIEDNIU

W dzienniku wiedeńskim „Die Volksstimme" (13 grudnia 1964) czytamy w artykule pt. „Wanda Wiłkomirska u szczytu swych umiejętności", co następuje: „Bardzo w Wiedniu lubiana polska skrzypaczka, Wanda Wiłkomirska, przedstawia sobą przede wszystkim charakterystyczną osobowość, której podporządkowany jest czysty artyzm. Na podium wielkiej sali koncertowej — w ramach organizowanego cyklu solistów — Wiłkomirska przeszła samą siebie. Nie widziałem jej nigdy w tak korzystnej dyspozycji, jak w czasie ostatniego jej występu, wraz z Kurtem Raptem, który od dziesięciu lat pojawia się jako jej stały partner — pianista".

KSIĄŻKA JURGIELEWICZOWEJ

W „Neue Zürcher Zeitung" z 16 grudnia ub. roku znajduje się recenzja z powieści Ireny Jurgielewicz, która pt. „Wir sind Freunde, Marek" ukazała się nakładem szwajcarskiego wydawnictwa Benziger-Verlag w Einsiedeln. Autor recenzji pisze między innymi: „Stosunki wśród młodzieży, a osobliwie nastawienie młodszej do starszej generacji przedstawiono w książce w sposób pełen zrozumienia i godności. Szczególnie dziewczyna Ula pokazana została w całej swej złożoności. Uroku dodaje powieści fakt, że akcja jej rozgrywa się na wsi polskiej".

FITZGERALD I CONRAD

Nakładem New York University Press ukazała się u schyłku roku ubiegłego książka Jamesa Millera pt. „F. Scott Fitzgerald, bis Art and his Technique". Książka ta zainteresowała nas i z tego powodu, że sporo miejsca Miller poświęcił w niej Józefowi Conradowi. Miller pisze, na przykład, że w okresie, gdy Fitzgerald pracował nad swoją powieścią „Wielki Gatsby", znajdował się pod wpływem Józefa Conrada. Fitzgerald bynajmniej tego nie ukrywał. Do swego przyjaciela, Edmunda Wilsona, powiedział w sierpniu 1922 roku: „Widzisz, chciałbym w mej książce (Wielki Gatsby) uzyskać Conradowską żywość stylu i języka". Na innym miejscu Miller podaje, że Fitzgerald bardzo lubił czytać Conrada, a zwłaszcza wyróżniał spośród jego dzieł „Lorda Jima". Monografia Millera o Fitzgeraldzie zawiera wiele innych interesujących szczegółów o naszym rodaku Józefie Conradzie.

MÓWI IGOR NEVERLY

Polska powieść współczesna oraz polska poezja cieszą się w ZSRR niesłabnącym powodzeniem. Między innymi dlatego właśnie w cyklu wywiadów z pisarzami „Litieraturnaja Gazieta" poświęca wiele miejsca Polakom. Tym razem na pytania odpowiadał Igor Neverly:

— W tej chwili skończyłem pracę nad powieścią, która, moim zdaniem, jest najtrudniejszą ze wszystkich dotychczas napisanych przeze mnie książek. Głównym bohaterem powieści jest Janusz Korczak — lekarz, pedagog i pisarz. Ukazuję go w otoczeniu jego nauczycieli i przyjaciół, przedstawicieli radykalnej polskiej inteligencji na przełomie XIX i XX wieku.

W powieści występuje również B. Prus, S. Brzozowski, A. Świętochowski, L. Krzywicki, W. Nałkowski, jego córka Zosia — przyszła wybitna polska pisarka oraz wielu innych. Starałem się nakreślić historię tego pokolenia. Piszę również o sobie (w 1926 roku byłem sekretarzem Korczaka). Opisuję okres wojny, okupacji, obozów koncentracyjnych. Na bohaterów mojej powieści staram się patrzeć oczyma współcześnie żyjącego człowieka.

JAN DURAS

LEK NA MITOMANIĘ

Wiedziałem ze szkoły, iż Cypr jest wyspą Afrodyty, bogini miłości, także piękności.

Jednak o tym, że na Cyprze od tysięcy lat obchodzi się 1 maja Święto Kwiatów dowiedziałem się niedawno od Petrosa Zemenidesa.

Usłyszałem o tym w Sieradzu, dość przypadkowo, w Powiatowym Domu Kultury. Do wciąż jeszcze pełnego średniowiecznych zabytków grodu nad Wartą, pojechałem dla zrobienia zwiadu. Co słychać w terenie, daleko od Łodzi, jeszcze dalej od Warszawy? Czy naprawdę władze najmniejszych zgoła miasteczek trzymają teraz węża w kieszeni, czy tną od góry w dół z rozmachem, po dotacjach na kulturę? Ogłaszamy alarm, uwaga, uwaga nadchodzi wyż demograficzny. Uwaga, alarm trwa! Odwołamy go dopiero po 1970 roku. Wpierw inwestycje w chemię, wpierw zakłady przemysłowe, wpierw praca.

Czy tak jest naprawdę, czy kulturę spycha się na boczny tor, aby zrobić miejsce dla pociągów z cementem?

Kierownik Powiatowego Domu Kultury w Sieradzu wcale tych obaw nie podzielał.

Wręcz przeciwnie, był dobrej myśli. Budżet największej w powiecie placówki kulturalnej wzrasta w tym roku o 5 tysięcy złotych. Zmiana choć niewielka jest symptomatyczna. Wydatki Domu zamkną się kwotą 400 tysięcy złotych. Na co pójdą te pieniądze? Więc 137 tysięcy pochłonie uposażenie personelu, 153 tysiące to koszt remontów Domu, 14 tysięcy to delegacje służbowe, za 30 tysięcy kupi się książki, gazety, instrumenty. A 60 tysięcy złotych to bezosobowy fundusz płac. Ta ostatnia pozycja jest języczkiem u wagi.

Zadecyduje o tym, co tej zimy usłyszą i zobaczą rolnicy kilkudziesięciu sieradzkich gromad.

W odróżnieniu od większości placówek tego typu, które z uporem koncentrują się na działalności środowiskowej, Powiatowy Dom w Sieradzu patrzy gdzie indziej. Ma oczy skierowane nie na miasto, lecz na wieś. Proporcje były przecież zwichnięte. Sieradz przede wszystkim, a wieś hen za lasami, za Wartą. Stare wartości przewartościowano. Jest już inaczej. Przede wszystkim wieś, bo miasto poradzi sobie samo. Powiatowy Dom usiłuje więc oddziaływać na swe odpowiedniki w gromadach — na 63 świetlice, domy ludowe, kluby i młodzieżowe kawiarnie. W tej wcale nie syzyfowej pracy upatruje sens egzystencji.

U źródeł tej decyzji leży przekonanie, że jeśli gdzieś jeszcze są białe plamy kulturalne, to na pewno nie w miejskich murach.

Dom w Sieradzu rozwinął akcję odczytową na niebywałą skalę, lecz nie oddał jej w pacht byle komu.

— Wysyłamy w teren ludzi — zastrzegł się kierownik — którzy naprawdę mają coś do powiedzenia, którzy sami coś widzieli, sami coś przeżyli...

Osobiście wziąłem to zdanie dosłownie — mają coś do powiedzenia, a nie do odczytania. W ogóle rysuje się zastanawiająca dysproporcja między jakością zebrań na wsi i w miastach. Obserwowałem w zeszłym roku różne konferencje na tak zwanym powiatowym szczeblu. Także w Łodzi. Jedną zgoła ogólnopolską. Nic ciekawego. Mówca podchodzi do trybuny, wyjmuje papierki i czyta. Akcentuje nie tam, gdzie trzeba, urywa nie tam, gdzie powinien. Odnosi się czasem wrażenie, że tekst nawet nie został przeczytany.

Nudne to.

Nie widziałem jeszcze chłopa, który by czytał na zebraniu.

Wieś by za nic miała takiego działacza. Widzicie go, pcha się, a nie potrafi słowa wydusić. Na wsi się nie czyta, na wsi się przemawia. Tam wciąż jeszcze żywe są tradycje słowa mówionego. Także kontrowersyjnej dyskusji. Byłem na zebraniu chłopów spod Wielunia. Nie pytano o nawozy i węgiel, absolutnie, pytano o granice z Czechami, o statki dla Kuby, o handel z Trzecim Światem, pytano o inne rzeczy. Potwierdził się nie wszystkim znany fakt, że przez te lata sfera chłopskich zainteresowań ogromnie wzrosła. Gdy chłop brodzi cały dzień za pługiem, różne myśli mu wtedy przychodzą do głowy. Rodzą się też wątpliwości, a z nimi pragnienie, by ktoś te wątpliwości rozwiał poważną, rzeczową argumentacją.

Dlatego w małym jest na wsi poważaniu, kto się miga, robi uniki, lub udaje, że pytania nie dosłyszał.

A już wieś najbardziej nie znosi, gdy ktoś czyta z trybuny. Co to ma znaczyć? Ostrożniak jakiś? Może to jeden taki, co niczego sam nie wie i trzeba mu było napisać? Przecież chyba umie po swojemu sklecić tych kilka zdań? Trybuna jest po to, żeby z niej głosić, co się akurat myśli. Wtedy to jest szczere, ciekawe, daje się słuchać. Zachęca też innych do zabrania głosu. Nie czytaj więc, bratku, na wsi gotowego tekstu. Nie czytaj, bo chłopi staną się nieufni, zasklepią się w sobie. Wtedy brniesz, brniesz, dukasz, dukasz, ty swoje, a sala myśli swoje. Kto czyta, nie może się dostosować do reakcji słuchaczy.

Nikt również nie załatwił żadnego problemu unikiem, przeciwnie, zaostrzył tylko problem.

Młodzi stawiają takie pytania:

— Czemu tyle dobrych towarów pochodzi z krajów kapitalistycznych?

Za dolary można kupić w sklepie w Łodzi takie rzeczy, że oczy bieleją, a za złotówki nie można. Czy to jest w porządku...?

Wzruszyć ramionami? Uciąć krótko — ależ to bezkrytyczna, rodzimo-głupia fascynacja Zachodem? Nic prostszego, lecz zmarszczeniem brwi, czy tupnięciem, też niczego się nie załatwi. Starsza generacja, notabene, coraz starsza, pamięta kapitalizm, ten polski, cherlawy, półkolonialny, ale ci młodzi nie pamiętają. Dla nich kapitalizm jest na amerykańskich i angielskich filmach, jest na szosie pod Sieradzem, którą mercedesy i ople śmigają na Wrocław. Jest też w paczkach od Jasia, którego wywieziono do Niemiec na roboty. Kto by pomyślał, taki Jasio, a do czego doszedł we Francji.

Powiedzieć, że to wszystko nieprawda, że nie ma żadnych opli ani mercedesów? To jest kapitalizm dla tych młodych, innego nie znają, skąd by mieli znać?

Dlatego jedno spotkanie z Petrosem więcej mówi sieradzkiej młodzieży o kapitalizmie i kolonializmie, niż 10 pogadanek wygłoszonych martwym głosem, przez kogoś kto nigdy w życiu nie wychylił się poza Gdynię. Kim jest Petros? Kierownik Powiatowego Domu wskazał ręką na młodzieńca, który rozrzucił na stole plik fotografii. Zdjęcia są wstrząsające. Wypalone wioski, trupy, rozpaczliwe twarze samotnych dzieci i staruszek. Wojna, wojna z obcą interwencją. Petros Zemenides jest Grekiem z Cypru, jest jednym z prelegentów Powiatowego Domu w Sieradzu. Przypominał mi owych aktywistów, którzy przed laty, w czasach szturmu i naporu wędrowali od wioski do wioski, namawiali wieśniaków do przejścia na spółdzielczość. Nie mieli porządnych płaszczy na grzbiecie, nie mieli teczek ani beretów. Mieli za to ideę.

Petros ma też ideę.

Pragnie, by do polskiego rolnika dotarła prawda o Cyprze, prawda o Zachodzie. W sprawach swej ojczyzny Petros jest ogniem i wulkanem.

Nie uznaje żartów, niuansów, niedomówień, gdy w grę wchodzi niepodległość, gdy na szali ważą się losy suwerenności, wolności.

Dywagacje filozoficznej natury rzadko trafiają do praktyków, do działaczy. Dla Petrosa istnieje jeden podstawowy fakt. Anglicy to dranie, którzy mącą, Cypr musi rządzić się po swojemu. Petros jest uczulony na tym punkcie. Napisał właśnie dużą epistołę do „Polityki". Oburzył go artykuł Daniela Passenta pt. „Cypr, wyspa pod bronią". To nieprawda, że Cypryjczycy nauczyli się tylko nienawiści, to nieprawda, że nie ma małżeństw mieszanych, to nieprawda, że nie ma wiosek z ludnością grecką i turecką, bo takich wiosek jest przeszło 100. Petros zaprzecza, zaprzecza. Jest już 3 rok studentem Akademii Medycznej w Łodzi, lecz duszą jest na słonecznym, ciepłym przepięknym Cyprze.

— Co pana najbardziej zaskakuje podczas spotkań z ludnością wiejską — zapytałem Petrosa.

— Petros śmieje się okiem, zębem, całą twarzą, tylko południowcy umieją tak się uśmiechać:

— To, że wszyscy chcą mnie zobaczyć. W jednej miejscowości był akurat mecz piłki nożnej, gdy przyjechałem. Boisko opustoszało w jednej chwili, wszyscy do mnie przybiegli i zaczęli się przyglądać. Wszędzie jest wielka gościnność i serdeczność. Nieznani ludzie zapraszają do domów na obiad, na kolację, na pogawędkę. Pytają o wszystko. Jak znoszę klimat w Polsce, czy język polski jest trudny, czy mi się podobają polskie dziewczęta? Ale najwięcej pytają o zarobki na Cyprze i w Grecji, pytają o ten drugi świat. Najbardziej byłem zdumiony, gdy pewien stary nauczyciel wiejskiej szkoły w Brzeźnie, zaczął mi cytować „Iliadę" Homera najczystszą greką. Nigdy bym nie przypuszczał, nigdy bym nie uwierzył, że tylu ludzi w Polsce zna tak dobrze język starogrecki. Spotkania z ludnością wiejską są dla mnie bardzo przyjemne.

Spotkania z Petrosem są też bardzo udane z innego punktu widzenia.

Mariaż pasji z wiedzą zawsze przynosi zdrowy i dobry owoc. Petrosowi nie brak pasji, ma aż nadto wiedzy o swym kraju. Nikt go nie wyręczy w opowieści o Turkach, Grekach i Anglikach. Student z dalekiej wyspy pomógł niejednemu chłopu na sieradzkiej wsi, uważniej rozejrzeć się po rzeczywistych konfliktach współczesnego świata. A ciekawość tego świata jest na wsi wprost niebywała. Witają tam każdego z otwartymi ramionami. Chłopom nie różnica kto, byle to był człek mądry, otrzaskany, byle to był ktoś, kto wie więcej „niż oni" i więcej niż ksiądz proboszcz. Nie tylko Petros gości we wioskach nadwarciańskich. Przybywają tam również lekarze, adwokaci, przyjeżdżają aktorzy, literaci, publicyści, którzy właśnie powrócili z Niemiec zachodnich.

Zaprasza ich na wieś, do świetlic i klubów Powiatowy Dom Kultury w Sieradzu.

To mądre posunięcie, rozsądna decyzja, bo jeśli na wsi daje się odczuwać jakiś głód, to jest to głód spowodowany brakiem witaminy „i", brakiem informacji.

Lecz nie informacji zdawkowo-urywkowej, przetrawionej jak papka dla dzieci. To musi być pełna informacja, mieć walor oczywistej aktualności. Nigdy nie wiadomo, z której ławki podniesie się chłop, jakim zahaczy haczykiem. Jeśli ktoś wciąż wierzy w teorię, wiejskiego ciemniaka, kłosa i duraka, niech już lepiej nie opuszcza miejskich pieleszy. Bo nawarzy tylko piwa, które potem my wszyscy pijemy. Nolens volens pić musimy. Znam rolników, którzy gdy zabierają głos, to jakby minister przemawiał. Nie brak na wsi współczesnych nam Witosów, ludzi o wrodzonej inteligencji, która na dłuższą metę więcej niekiedy znaczy niż „fakultety".

Nie radzę też liczyć na łatwy poklask. Chłop nie kluczy, mówi co myśli, pyta ostro, pilnie potrzebuje witaminy „i". Bez tej witaminy jest chory, chodzi jak struty z głową nabitą, śni mu się po nocach kiełbasa, aferzyści, śni łobuz na spędzie, łapówkarz w urzędzie. Śnią też jakieś mityczne krainy, w których nawet drogi są wybrukowane dolarami i to złotymi. Bez witaminy „i" chłop zapada na groźną chorobę, której na imię mitomania lub frustracja.

Jest dowiedzione, że Petros i jego fotografie to pierwszorzędny lek na tę chorobę, więc na mitomanię. Chłopi nie mogą oderwać oczu od zdjęć. Więc to tak, więc to tak, Zachód może być i taki, któżby pomyślał! Nie diabeł opętał sieradzkich chłopów, lecz pospolity głód szerokiego świata. Tego głodu nie zaspokoi nawet telewizja. Bo skrzynia to automat. Ekranu o nic nie zapytasz, szkło ci nie odpowie. Co innego, gdy widzisz Afrykańczyka za stołem, a co innego gdy go widzisz na filmie. Ci Afrykańczycy są częstymi gośćmi w sieradzkich wioskach, zwłaszcza w Brzeźnie, które jest bardziej zaktywizowane kulturalnie, niż niejedno miasteczko.

Głód świata, ten głód może być zaspokojony za 60 tysięcy złotych rocznie. Ale jest zaspokajany w znacznie większej mierze, bo nie wszyscy oglądają się za honorarium. Społecznikiem przez duże „S" jest dr W. Milewicz. Nie ma tygodnia, by doktor nie okręcił szyi szalikiem i nie wyruszył na wieś, do chłopów. I nigdy nie bierze zapłaty za prelekcję. Czułby się tym dotknięty. Ma 70 lat, wie jak to niegdyś bywało.

Powiedziano mi w Sieradzu:

Cały ten spór o wiejskie świetlice jest bezsensowny. Są świetlice dobre i złe, ale każda jest potrzebna.

Dlatego jest potrzebna, że stanowi przystanek, na którym wysiadają społecznicy i prelegenci. W zimowe wieczory panuje na wsi pustka. Kto ma tę pustkę wypełnić, jeśli nie oni? Więc zachęta. Kto szuka polemistów, po chłopsku sceptycznych, kto pragnie wyostrzyć swój intelekt w kontrowersyjnych dyskusjach, niech rusza na wieś. Na tę sieradzką. Gdzie zrodziła się nowa koncepcja pracy kulturalnej. Ta koncepcja polega nie na rozmowie chłopa z instruktorem od wszystkiego, lecz na rozmowie ze specjalistą, który gdy mówi o Anglikach, to ich poznał z własnych, gorzkich nieraz przeżyć. Bo najlepszym lekiem na mitomanię jest solidna, szybka informacja.

Tę prawdę, zrozumiano w dalekim Sieradzu. Zrozumiano ją również w jeszcze dalszym Brzeźnie.

TADEUSZ SŁUPECKI

WSPOMNIENIE z roku 1945

Po raz ostatni poszedłem do fabryki w dniu 15 stycznia 1945 roku. Pracowałem wtedy w fabryce metalowej, mieszczącej się w rozebranym dziś budynku przy zbiegu ulic Tuwima i Sienkiewicza.

W fabryce — pierwsza niespodzianka. Fabrykant, kulawy, złośliwy volksdeutsch, czatujący zwykle na spóźnionych, nie odwrócił nawet głowy na moje „dzień dobry". Druga niespodzianka spotkała nas w chwili, gdy majster oznajmił, iż z powodu „trudności technicznych" w łódzkiej elektrowni, fabryki skracają czas pracy do 7 godzin.

„Trudności techniczne"? — szepnął ktoś. Bujda! Rozbierają i wywożą maszyny, tak jak to robią u Johna, Scheiblera i w tylu innych firmach. A te kufry, co je „stary", bez przerwy wysyła do Reichu, to nie hitlerowcy wieją...

— Armia Radziecka jest już podobno w Łowiczu!... — mówił drugi.

— No i co? — triumfował tamten — miałem rację?

Serce zaciążyło mi w piersi. Pięć lat, spędzonych w tej odrapanej sali, łoskot maszyn, jednostajny huk bijącego w kuźni młota, męka obolałych mięśni i odpoczynek w cuchnącym ustępie, głód, nędza i obawa o najbliższych, ponury lęk przez nieznanym i nużące oczekiwanie na wolność — wszystko to zniknęło w treści jednego zdania: „ARMIA RADZIECKA JEST W ŁOWICZU".

— Cholera jasna! — W uszy uderzył głos majstra. — Znowu stoją! Ja was nauczę roboty! Jeszcze istnieje obóz na Sikawie!

Uderzyłem młotkiem w kawałek pokrzywionej blachy.

Wieczorem wyszedłem na miasto. Łódź dygotała w oczekiwaniu i niepewności. Słychać było dalekie, przygłuszone odgłosy wybuchów. Każdy znajomy miał coś do powiedzenia i każdemu coś się mówiło: że żołnierze radzieccy są w Tomaszowie, że podchodzą pod Piotrków, że był już w Głownie...

We wtorek ucieczka wroga stała się jawna. Już i miejscowi volksdeutsche mówili o niej głośno. Szosą brzezińską, od Widzewa i od Pabianic wjeżdżały w miasto długie kolumny wozów, aut wojskowych, czołgów. Oderwani żołnierze niemieccy szli kompaniami, w grupach lub pojedynczo, a z nimi wlekli się obładowani tobołkami volksdeutsche. Dniem i nocą nieprzerwany strumień pojazdów, ludzi i uprowadzanego bydła płynął przez miasto w kierunku Konstantynowa.

Wkrótce rozeszła się wieść, że oddziały radzieckie otaczają Łódź szerokim kołem i jedynie droga na Konstantynów jest w rękach hitlerowców.

Wieczorem — nalot samolotów radzieckich. Dochodziłem właśnie do skrzyżowania ulic Piotrkowskiej i Andrzeja Struga, gdy powietrzem targnęły detonacje. W parę sekund później nad ciemną ulicą zawisł oślepiający blask. Zajęczały syreny. Alarm.

Dwa tramwaje jadące ulicą Piotrkowską skręciły gwałtownie w ulicę Tuwima i stanęły. Pasażerowie wyskakiwali w biegu, przewracając się na śniegu. Dookoła, we wszystkich kierunkach biegli przechodnie. Ktoś chwycił mnie za ramię i wciągnął we wnękę sklepowych drzwi. Była to moja znajoma, blada i wystraszona.

— Niech pan się schowa! Przeczekamy...

— Tu? Na skrzyżowaniu centralnych ulic? Biegniemy dalej! Czarne przed dwoma minutami niebo zmieniło się teraz w żółtawozłocistą tarczę, obłok — w przejrzyste strzępy białej gazy. Między nimi kołysały się na spadochronach rakiety, rozlewając ostry potęgujący się w ułamku sekundy, blask. Nigdy, w najbardziej słoneczne południe nie widziałem tak cudownie i groźnie zarazem prześwietlonego nieba. A blask rósł, palił się na murach kamienic, kłuł oczy białożółtym połyskiem śniegu. Martwą ciszę powietrza pruł warkot niewidzialnych bombowców... Dla czego jeszcze nie bombardują? Wybuchy zastąpiły odpowiedź.

Nalot ten — który miastu większych szkód nie wyrządził — tak jednak przeraził hitlerowców, że już w nocy wydano rozkaz ewakuacji wszystkich cywilnych Niemców. Polakom zabroniono wychodzić z mieszkań. Kto wie co uczynią z nami! Czekaliśmy całą noc, ubrani, wsłuchując się w zgiełk, jaki dolatywał z ciemnych ulic.

Czwartek poraził nas wieścią o paleniu więźniów w Radogoszczu. Słynne w Łodzi więzienie „wykończalnia" na Radogoszczu urządzone w trzypiętrowym budynku fabrycznym, zostało otoczone wczesnym rankiem przez uzbrojoną w automaty straż więzienną. Do uszu ukrytych w piwnicach mieszkańców okolicznych domów dobiegły odgłosy licznych strzałów.

Nagle z okien więzienia buchnął wysoki płomień, rozległy się detonacje: za chwilę trzypiętrowy gmach płonął jak pudełko zapałek. W niebo strzelały czarne chmury dymu. Kiedy od czasu do czasu rozbijał je podmuch wiatru, widziano na dachu fabryki gromady półnagich więźniów, którzy nie mogąc uciec od płomieni, skakali z trzeciego piętra w dół.

Niemcy strzelali do nich jak do ruchomych sylwetek, wielu dobijali na ziemi.

Po południu rozpoczęła się gwałtowna strzelanina na przedmieściach miasta. Głuche wybuchy pocisków armatnich mieszały się z seriami RKM-ów. Chwilami powstawał jednostajny, zachłystujący się w pośpiechu grzmot. To oddziały radzieckie łamały ostatni opór SS-manów i volksdeutschów.

Tak minęła noc, noc wyczekiwania, lęku, nadziei i płaczu przerażonych dzieci. Świadomość, że to JUŻ — ginęła w okrutnie powolnym obrocie wskazówek zegara.

Rankiem wszystko ucichło. Sąsiedzi wychodzili na ulicę, lecz rychło wracali, nie przynosząc żadnych pewnych wiadomości. Cywilni hitlerowcy próbowali podpalać fabryki i składy, z żywnością, strzelali do Polaków.

Chciałem wyjść również — błagalny wzrok matki zatrzymał mnie w domu. Rzuciłem się więc w ubraniu na łóżko, zmęczony bezsennością i przeżyciami ostatnich dni. Około południa obudził mnie brat.

— Chodź no prędko na ulicę. Zobaczysz coś ciekawego.

— Daj spokój z żartami. Chce mi się spać.

— Ale chodź, mam dla ciebie niespodziankę. Wielką niespodziankę.

Wyszedłem rozespany. Przed bramami domów stały gromadki ludzi. Pełen nieokreślonych przeczuć przepchałem się na brzeg chodnika, aby zobaczyć powód ich radości.

Od strony ulicy Kilińskiego szedł środkiem jezdni mały żołnierz radziecki, prowadząc wysokiego, chudego jeńca w zielonym mundurze. Za nim — kilku uzbrojonych cywilów. Na ich rękach ujrzałem czerwone opaski.

MIROSŁAW CYGAŃSKI

DZIAŁALNOŚĆ WYWIADU III RZESZY
w łódzkim przemyśle

Województwo łódzkie stanowiło główny ośrodek życia mniejszości niemieckiej na obszarze środkowej Polski w okresie międzywojennym. Liczba Niemców w tym województwie wynosiła według spisu powszechnego z 1931 r. 155.300 osób, a w 1939 r. wzrosła do 170.000, stanowiąc około 6—7 proc. ludności województwa. Niemal połowa ludności niemieckiej tego obszaru skupiała się w mieście Łodzi (w 1939 r. około 60 000 osób, czyli 10 proc. całej ludności miasta) i powiecie łódzkim.

Łódź spełniała rolę metropolii życia politycznego, gospodarczego, społeczno-organizacyjnego oraz kościelno-wyznaniowego mniejszości niemieckiej w Polsce środkowej. Tutaj działało w latach 1933—1939, 100 organizacji niemieckich, skupiających ponad 10.000 członków, nie uwzględniając partii politycznych.

Na terenach województwa, poza Łodzią, ilość organizacji niemieckich nie przekraczała — 25.

W latach 1937—1939 r. wydawano w Łodzi 20 pism niemieckich.

Łódź była również siedzibą kilku partii politycznych oraz ważniejszych niemieckich zrzeszeń i placowek gospodarczych. Niemieckie partie polityczne o charakterze narodowo-socjalistycznym odgrywały dominującą rolę nie tylko w życiu mniejszości całej środkowej Polski, lecz także prowadziły w latach 1938—1939 zwycięską ekspansję wpływów ideologii hitlerowskiej wśród ludności niemieckiej, województw południowo-wschodnich. Najsilniejszy był tu Deutscher Volksverband (działający od 1924 r.), który w latach 1938—1939 liczył około 30.000 członków. W województwie łódzkim DVV posiadał 60 organizacji lokalnych, skupiających 11.000 członków (z tej liczby 5.000 w Łodzi). Nacjonalistyczna ta partia od początku istnienia, uległa szybkiej i zupełnej hitleryzacji po powstaniu III Rzeszy. Rywalizująca z DVV — Jung Deutsche Partei (działająca od 1934 r. w skali ogólnokrajowej) była znacznie słabsza liczebnie (około 3.000 członków w województwie łódzkim), lecz odznaczała się jeszcze większym fanatyzmem hitlerowskim. Łódź była również siedzibą ekspozytury zagranicznej partii hitlerowskiej — Auslandsorganisation (A.O.) NSDAP.

Systematycznemu wzrostowi wpływów partii hitlerowskich towarzyszył kryzys w szeregach niemieckiej opozycji antyhitlerowskiej, reprezentowanej przez socjalistyczną Deutsche Sozialistische Arbeitspartei (DSAP) i liberalny Deutscher Kultur und Wirtschaftsbund (DKuWB). Liberalizm władz sanacyjnych w stosunku do hitlerowców łódzkich, potępiany przez większość ludności polskiej i żydowskiej Łodzi, ułatwiał im spychanie przeciwników na peryferie życia mniejszości. Represje i prześladowania władz zmusiły również podziemną Komunistyczną Partię Polski do ograniczenia walki z wpływami hitlerowskimi w życiu mniejszości, prowadzonej intensywnie w latach 1928—1934. Następstwem tej sytuacji, stała się nazyfikacja ogromnej większości 125 organizacji niemieckich w województwie łódzkim (około 80 proc. ze 125).

Klimat do prowadzenia działalności szpiegowskiej na rzecz III Rzeszy był wyjątkowo sprzyjający w łódzkim okręgu przemysłowym, który już przed I wojną światową ściągał uwagę służby wywiadowczej cesarstwa niemieckiego. Ludność niemiecka odgrywała poważną rolę w życiu gospodarczym okręgu (około 45 proc. większych zakładów przemysłowych należało do Niemców), a silna rozbudowa wspomnianych politycznych ośrodków hitlerowskich, mających powiązanie ze znaczną częścią niemieckiej burżuazji łódzkiej, stwarzała dogodne warunki dla skutecznej działalności wywiadu polityczno-wojskowego i gospodarczego. Nieudolność łódzkiej placówki kontrwywiadu — Samodzielnego Referatu Informacyjnego przy IV Dowództwie Okręgu Korpusu w Łodzi, jeszcze bardziej potęgowała niebezpieczeństwo.

Działalność wywiadowczą w przemyśle łódzkim prowadziły głównie trzy centrale aparatu wywiadowczego III Rzeszy: Abwehra — służba informacyjna dowództwa Wehrmachtu, Auslandsorganisation der NSDAP i Auswärtiges Amt. Aktywność tych dwóch ostatnich ośrodków przejawiała się najsilniej w przemyśle łódzkim. Konsulat niemiecki w Łodzi (istniejący już od 1921 roku) spełniał rolę głównej placówki wywiadowczej Ministerstwa Spraw Zagranicznych III Rzeszy. Konsul Edward Berchem von Königsfels (1934—1939 r.) odgrywał poważną rolę w życiu mniejszości niemieckiej w Łodzi i wniósł poważny wkład osobisty w proces jej hitleryzacji. Konsulat niemiecki w Łodzi był głównym dystrybutorem prasy i wydawnictw III Rzeszy dla województw centralnych i wschodnich.

Wśród ludności niemieckiej, konsul hitlerowski rozbudował sieć informatorów, konfidentów i wszelkiego rodzaju współpracowników pochodzących niemal ze wszystkich warstw społeczeństwa niemieckiego i wykorzystywanych do dostarczania informacji z różnych dziedzin łódzkiej gospodarki przemysłowej. Byli to obywatele III Rzeszy, zrzeszeni w Hilfsvereins Deutscher Reichsangehöriger — Lodz 1934—1939 i zatrudnieni często na wysokich stanowiskach w przemyśle łódzkim. Znajdowali się tutaj także liczni obywatele polscy narodowości niemieckiej, pracujący w różnych dziedzinach dla interesów konsulatu.

Równorzędnie do służby informacyjnej konsulatu bardzo ożywioną działalność wywiadowczą w łódzkim przemyśle prowadziła placówka Auslandsorganisation der NSDAP — Lodzer Ortsgruppe der NSDAP. Akcja ta przebiegała pod ścisłym patronatem konsula Berchema von Königsfels. NSDAP łódzka urzędowała w lokalu niemieckiego konsulatu w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 260. To podporządkowanie jej placówce dyplomatycznej III Rzeszy, korzystającej z praw eksterytorialności, miało ją chronić przed ewentualnymi represjami władz polskich. Obok propagandy i agitacji, wywiad należał do głównych zadań placówki NSDAP. AONSDAP prowadziła działalność wywiadowczą, współpracując jak najściślej ze służbą informacyjną konsulatu. Współpraca taka, mimo rywalizacji i zatargów centralnych kierownictw — Auswärtiges Amtu i AONSDAP — była zresztą koniecznością, ponieważ zasadniczą kadrą służby informacyjnej konsulatu i placówki AONSDAP w Łodzi, byli członkowie Hilfsverein Deutscher Reichsangehöriger — Lodz i w obu organach występowały często te same osoby. NSDAP w Łodzi prowadziła osobowe kartoteki i zbierała różnorodne wiadomości o osobach narodowości niemieckiej i polskiej. Jednak najistotniejszym odcinkiem jej działalności wywiadowczej było szpiegostwo gospodarcze.

Szefem łódzkiej placówki NSDAP był znany szowinista niemiecki — Kurt Pohlmann, dyrektor Deutsche Genossenschaftsbank — głównej centrali pieniężnej obozu hitlerowskiego w środkowej Polsce. K. Pohlmann dawny pułkownik armii niemieckiej i obywatel Rzeszy, kierował tym niemieckim bankiem w Łodzi już od 1921 r., dostarczając kolejno subsydiów nacjonalistom niemieckim i hitlerowcom, a także zaopatrując ich w materiały propagandowe. Działalność szefa głównej agentury finansowej III Rzeszy w województwach centralnych łączył z aktywnością w dziedzinie wywiadu gospodarczego. Stałe kontakty z niemieckimi przemysłowcami i kupcami w Łodzi, odgrywały zasadniczą rolę w jego działalności szpiegowskiej. Godnym pomocnikiem Pohlmanna był Niemiec łódzki dr Kurt Schweikert — fabrykant z Pabianic i Franz Somya — właściciel wielkiego składu żelaznego przy ul. Piotrkowskiej 102. Somya był również Niemcem łódzkim, lecz posiadał obywatelstwo niemieckie. Obok nich ważna rolę w aparacie wywiadu AONSDAP w Łodzi odgrywali obywatele z Rzeszy: sekretarz tej placówki Otton Heyer — niemiecki korespondent prasowy pochodzący z Łodzi i skarbnik Teodor Kopka — urzędnik konsulatu. Współpracował z nimi Reichsdeutsch Adolf Bautze — dyrygent niemieckiej orkiestry w Łodzi, spełniający funkcje referenta prasowego NSDAP.

Czołowym szpiegiem AONSDAP w życiu gospodarczym łódzkiego okręgu przemysłowego był Karol Weber. Ten obywatel niemiecki, przebywający w Łodzi od 1930 r. zajmował stanowisko dyrektora fabryki K. Steinerta i S-ka — starej i ważnej łódzkiej firmy przemysłowej. Weber należał również do współzałożycieli placówki AONSDAP i Hilfsvereins Deutscher Reichsangehöriger w Łodzi. W ciągu 9 lat pobytu w Łodzi Weber prowadził rozległą działalność wywiadowczą w służbie III Rzeszy w łódzkim przemyśle. Prowadził tę akcję także przy pomocy współpracowników, należących do łódzkich sfer przemysłowych i hołdujących wpływom narodowego socjalizmu. Zdobyta w pracy wywiadowczej i zawodowej znajomość spraw łódzkiej gospodarki przemysłowej stała się podstawą szybkiej kariery Webera w okresie okupacji.

Aparat wywiadowczy AONSDAP posiadał cały sztab współpracowników w kołach niemieckiej łódzkiej burżuazji przemysłowej, którzy często należeli także do służby informacyjnej konsulatu. Trzon jego stanowili: młodzi fabrykanci, znani protektorzy niemieckich partii narodowo-socjalistycznych (DVV i JDP) w Łodzi, niemieccy dyrektorzy fabryk łódzkich oraz niemieccy kupcy w Łodzi, pozostający w ścisłych związkach z obozem hitlerowskim.

Obraz działalności wywiadu III Rzeszy w przemyśle łódzkim byłby niekompletny bez uwzględnienia aktywności firm handlowych III Rzeszy na tym terenie. Na pierwszy plan wysuwały się tutaj: łódzka placówka niemieckiego koncernu chemicznego I.G. Farbenindustrie — „Barwanil" oraz filia Niemieckiej Spółki Akcyjnej dla Międzynarodowego Transportu — „Schenker i S-ka". W systemie totalnego szpiegostwa III Rzeszy, firmy przemysłowo-handlowe odgrywały zasadniczą rolę — dostarczycieli ważnych informacji technicznych. Działalność szpiegowska wspomnianych firm III Rzeszy w Łodzi, zwróciła uwagę placówki kontrwywiadu, której jednak nie powiodły się próby zdemaskowania tych machinacji.

Również niemieckie spółki powiernicze — Treuhandekziengesellschaften, przeprowadzające analizę działalności firm łódzkich i towarzystwa asekuracyjne III Rzeszy, ubezpieczające te firmy, wykorzystywane były przez wywiad III Rzeszy do działalności szpiegowskiej w łódzkim przemyśle.

Omówione na wstępie sprzyjające warunki działalności przy zastosowaniu systemu totalnego szpiegostwa umożliwiły wywiadowi hitlerowskiemu silną penetrację gospodarki łódzkiego okręgu przemysłowego.

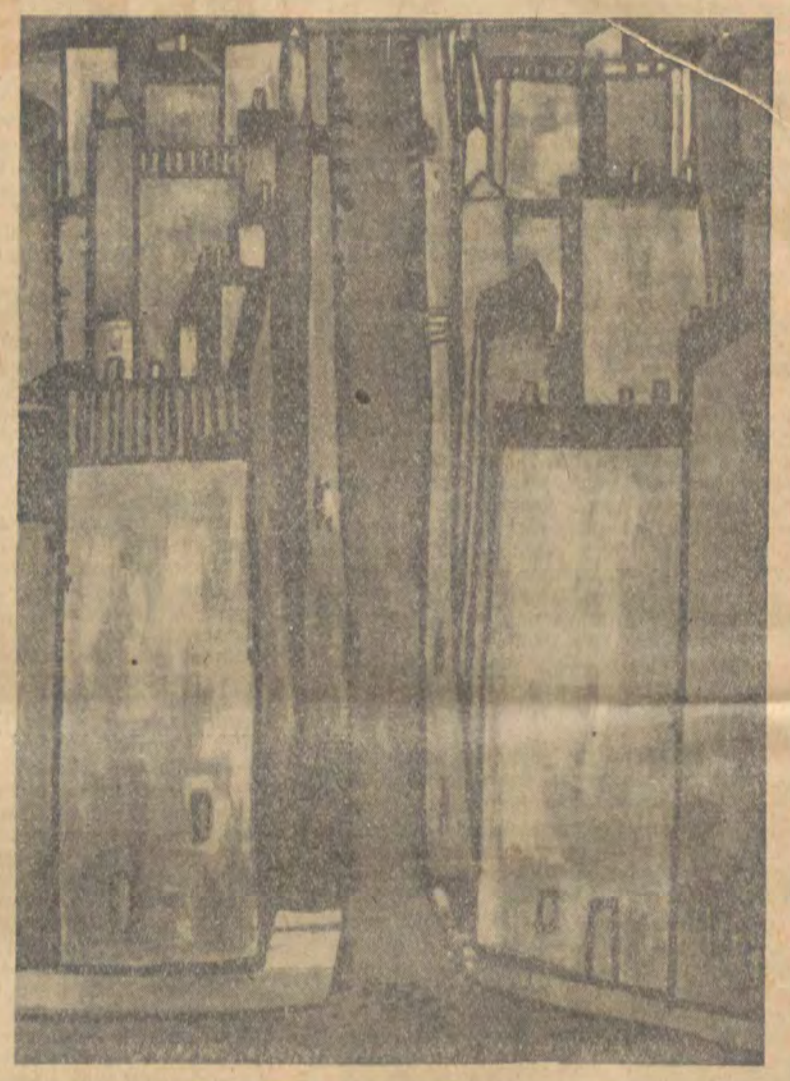

Józef Skrobiński

REPORTAŻ z paragrafem

Każdy, kto choć trochę interesował się historią literatury, wie doskonale, jaką rolę odegrały ogrody w rozwoju klasycyzmu i romantyzmu. Gdyby się wszakże zdarzyło, że ktoś tego nie wie, to proszę się nie wstydzić i sięgnąć po książkę Zbigniewa Herberta pt. „Barbarzyńca w ogrodzie". Po to zresztą tylko, aby uzmysłowić sobie, jaka nas jednak przepaść dzieli od epoki odkrywcy ogrodów i zieloności w literaturze, od epoki Jana Jakuba Rousseau.

Oczywiście większości z nas ogrody i parki w dalszym ciągu dostarczają tych wzruszeń, które odkrył klasycyzm i romantyzm. Jakościowo, choć chyba nie w takim stężeniu. Czyż może być bowiem coś przyjemniejszego w czasie lata w mieście od wybrania się do parku, na „swoją" ławkę, gdzie się spędza większość upalnych popołudni? Pod warunkiem jednak, że do ogrodu nie wtargną barbarzyńcy. Tak konwencjonalnie, poprzez sentyment do literatury, nazywam tutaj pospolitych chuliganów. I niech mi, proszę, nie ma tego za złe, pan Jerzy S. oraz jego żona Genowefa, którzy przekonali się w parku Sienkiewicza, do czego tacy współcześni barbarzyńcy są zdolni.

Wtargnęło ich trzech. Jeden, niski i niepozorny, wysłany na wabika zwrócił się do pana Jerzego S. ze słowami: „Pocałuj mnie w rękę" wyciągając jednocześnie niezbyt czystą dłoń pod usta zdziwionego małżonka pani Genowefy. Gdyby podobna prośba została wypowiedziana w dobrej wierze, można by śmiało pomyśleć sobie, że proszącym jest wariat. Ale to nie była prośba. Był to imperatyw i pan S. osłupiał, jak zapewne osłupiałby każdy normalny człowiek słysząc podobną propozycję. Nim zdążył odtrącić nachalną dłoń, poczuł inną dłoń, ale już zaciśniętą w pięść, na tyle swojej głowy. Siedzący nieopodal na ławce ob. Wąż, który stanął przed sądem jako świadek zajścia, tak opisał potem to zdarzenie: „Kotłowali go kilka razy; cała ich była kupa wokoło". Świadek, widząc tę przeważającą ilościowo przewagę barbarzyńców, nie pośpieszył napadniętemu na pomoc bezpośrednio, wybierając drogę okrężną. Mianowicie udał się pod pocztę i zawiadomił funkcjonariusza służby ruchu MO.

W parku w tym czasie kotłowało się w dalszym ciągu i dopiero na krótko przed przybyciem milicji, uspokoiło się na chwilę. Ob. Wąż prowadził funkcjonariusza MO na miejsce zajścia, gdy nagle, w głębi ulicy, zobaczył czterech młodych ludzi. „To ci" — wskazał na przypadkowych przechodniów. W ten sposób odsiecz nie doszła do ofiary. Zresztą, w tym czasie, barbarzyńcy zostawili pana Jerzego S. w spokoju pozwalając mu nawet obmyć sobie krew z twarzy. Po to tylko, aby wszystko zacząć od początku. Ale wtedy dwukrotnie zdarzyło się coś, co musiało barbarzyńców nie tylko zdziwić, bo i przerazić. Najpierw pan S. schwytał atakującego barbarzyńcę za rękę i byłby go pewnie zatrzymał, gdyby nie pomoc barbarzyńcy drugiego. W każdym razie opór ten sprawił tyle, że obaj barbarzyńcy zaczęli umykać. Ale na szczęście park przypadkowo był lustrowany przez patrol MO. Dwaj najbardziej agresywni barbarzyńcy zostali więc ujęci, a plama z krwi pana Jerzego S. na swetrze jednego z nich nabrała znaczenia dowodowego. Barbarzyńcy bowiem bardzo niechętnie przyznają się do winy.

Na rozprawie okazało się, że rzeczywiście. Nie tylko nie bili pana S.; ale nawet dobrze nie widzieli całego zajścia. Oczywiście w miarę zeznań świadków ich buta jakby stopniowo topniała. Wyglądali już nie na bohaterów, a na wystraszone zające. Pilnie nadstawiali uszu śledząc zebrany przeciw nim materiał dowodowy. Gdyby nie obawa, że przyznaniem swoim przyczynią się do skazania, byliby się na pewno przyznali. Oczywiście zostali skazani, bo materiał procesowy przemówił dostatecznie silnie, nie pozostawiając żadnych wątpliwości.

Prawdę powiedziawszy w sprawie takiej i podobnych do niej przeraża mnie nie to nawet, że barbarzyńcy bez powodu biją innych, bo takie rzeczy się już zdarzały i pewno jeszcze niejeden raz będą zdarzać. Przeraża mnie pogarda barbarzyńców dla rodzaju ludzkiego i dla wartości uznanych przez ludzi. Gdy mizantropia jest wynikiem przemyśleń, gdy na postawę mizantropa wpłynęła praca całego jego życia, to choć się z postawą taką nie zgadzam, mogę ją wszakże zrozumieć. Ale skąd mizantropia u analfabety, który może, słysząc nazwisko Kartezjusz, pomyśli sobie, że chodzi o wynalazcę kart do gry, a słowa mizantropia już z niczym zupełnie sobie nie skojarzy. Choć z drugiej strony wiem doskonale, że to manifestowane poczucie wyższości barbarzyńców („Pocałuj mnie w rękę!") jest dowodem poczucia niższości, własnej bezużyteczności i bezwartościowości, której koniecznie chciałoby się zaprzeczyć. Być bohaterem, walić w twarz, dostać się na łamy prasy, być sławnym! Urojone wartości i zasługi.

Ale cóż, panowie chuligani, człowiek przez to tylko, że się urodził, nie staje się jeszcze człowiekiem. Na określenie: człowiek, trzeba sobie długo i cierpliwie zapracować. Inaczej zostaje się, nie mizantropem nawet, ale barbarzyńcą.

KONRAD FREJDLICH

SALOMON ŁASTIK

Obudzona wrażliwość czyli Janka

O Jance O. można napisać bardzo obszerną książkę. Wystarczyłoby zacytować zawartość jej trzech pamiętników, będących w moim posiadaniu, by opowieść o niej rozrosła się niepomiernie. Jednak, po ponownym przeczytaniu pamiętników i odtworzeniu treści naszych długich rozmów, postanowiłem nie odtwarzać pełnych dziejów obecnie już siedemnastoletniej dziewczyny. A to z prostej przyczyny: gdybym przedstawił jej dzieje od trzynastego roku życia, czytelnik nie uwierzyłby w żaden sposób, żeby można było tak bardzo już wykolejoną dziewczynę uratować, sprowadzić na normalne tory. Boję się, że nawet skrócona relacja o niej wzbudzi sceptycyzm co do jej przyszłości i wartości moralnej.

Matka Janki w chwili urodzenia dziecka miała 17 lat. Wywieziona na roboty do Niemiec — tam zaszła w ciążę. Ojcem był podobno żołnierz amerykański. Wróciła z dzieckiem do rodziny, do Warszawy. Nie trzeba chyba podkreślać, że w domu traktowano ją źle.

Matka umarła, gdy Jance szło na jedenasty rok.

Po śmierci matki Jankę zaadoptowała jej ciotka. Ciotka, wywieziona przez okupanta na przymusowe roboty do Niemiec, dostała się następnie do Danii, gdzie nauczyła się języka i usilnie pracowała nad swoim wykształceniem. Ponieważ z okupacji wyszła okaleczona, nie myślała o zamążpójściu, a całą swoją niewyżytą miłość macierzyńską przelała na siostrzenicę. Bardzo kocha to zdolne, ruchliwe, energiczne stworzenie, które mimo ostrych rysów ma bardzo wyrazistą i oryginalną urodę.

Janka uczyła się dobrze i żadnych kłopotów do lat trzynastu nie przysparzała. Należała do harcerstwa i bardzo się swojej drużynie udzielała. Prawie zawsze nosiła strój harcerski. Niebawem została drużynową. Latem wyjechała na obóz.

— Janka wróciła z obozu — opowiada ciotka — jakaś rozwichrzona, rozhukana.

Nie podejrzewała jednak nic złego i, korzystając z zaproszenia pewnej Dunki, z którą od lat się przyjaźni, wyjechała do niej w odwiedziny. Nieobecność opiekunki wykorzystała Janka na utrwalenie bliższych kontaktów z chłopcami z sąsiedniego obozu („Śródmieście"). Miała przecież niemal wolną „metę".

W siódmej klasie już nie była dobrą uczennicą. Głowę dziewczyny zaprzątały myśli o chłopcach i to niekoniecznie od strony seksualnej. Nie. Sprawności harcerskie zdaje Janka celująco. W ogóle pod względem sprawności fizycznej, giętkości, orientacji, przebiegłości i... bitności góruje Janka nad niejednym chłopcem, zaczęła więc swoją przewagę z powodzeniem dyskontować... Następnego roku na obozie Janka prowadzi rej wśród pewnej, małej grupki dziewcząt. Ona wyznacza partnerów, trasę eskapad do pobliskich wiosek po zdobycie żeru, ona organizuje bibki.

Mówiąc o tym katastrofalnym okresie w życiu tej dziewczyny, muszę zaznaczyć, że cierpiała wówczas na kompleks niższości. Janka znała swój rodowód, wiedziała o niechwalebnym życiu matki, o prymitywnych dziadkach, toteż świadomość, że to o n a przewodzi dziewczętom i chłopcom z „dobrych" domów, że to ona potrafi narzucić im swoją wolę, zmusić do posłuszeństwa i wzbudzić swoją brawurą szacunek i uznanie — dopingowała jej aktywność.

Janka zorganizowała sporą grupę chłopców do wspólnych eskapad. Jako doświadczona już dziewczyna, wiedziała jak wozdzić za sobą szczeniaków, a nawet i starszych chłopców. Nie ograniczyła się do chłopców z obozu harcerskiego. Do paczki dołączyli chłopcy ze słynnego, na szczęście już zlikwidowanego, „Spotkania" a miejscem harców stała się „Kaskada" — po pewnym czasie niedostępna dla osób spoza bandy rekrutującej się z młodzieży Bielan i Marymontu. Na porządku dziennym miały miejsce napady w celu zdobycia forsy na libacje. Duszą wszystkich eskapad była Janka — aczkolwiek nie uczestniczką. Ponieważ zbyt często komunikowała się telefonicznie ze swoją bandą, ponieważ zjawiała się od czasu do czasu zawiana, ponieważ zaczęła wagarować (chodziła już wówczas do Liceum Wychowawczyń Przedszkoli) — ciotka nabrała przekonania, że jest wobec niej bezsilna, że perswazje, krzyki a nawet łzy — nic dla niej nie znaczą. Pewnego dnia zwierzyła się mojej żonie ze swoich kłopotów, prosząc bym z Janką porozmawiał. Miała wówczas niepełne szesnaście lat. Nie miałem na to wielkiej ochoty, gdyż ze słów opiekunki wnioskowałem, że dziewczynę cechuje już mocno zaawansowana atrofia moralna, poza tym zdawałem sobie sprawę, że jest rzeczą prawie beznadziejną nawrócić dziewczynę, która od tak dawna przewodzi bandzie i wyżywa się w tym bez reszty.

Obraz jaki się wyłonił w wyniku dość długich i męczących rozmów, nie należał do zachęcających.

— Czy nie zdawałaś sobie sprawy, jakie to wszystko brzydkie, nieludzkie, oburzające? — pytałem.

— Nie, nie próbowałam nawet zdawać sobie sprawy, nie zastanawiałam się. Nie miałam czasu, miałam za dużo spraw na głowie...

Czy była wobec mnie szczera? Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Po kilku miesiącach dostarczyła mi plik kartek z zaszyfrowanymi w swoisty sposób „ankietami personalnymi" czterdziestu chłopców z bandy, której przewodniczył 21-letni Wojtek, a której cementem i nerwem była ona — „Czarny kot".

Mimo widocznych oznak poprawy, dziewczyna ta niejednokrotnie doprowadzała mnie do rozpaczy. Nie raz myślałem sobie, że jeżeli moje wysiłki pójdą na marne, jeśli nie pozyskam tej dziewczyny dla społeczeństwa — nigdy nie dam się skłonić do tego rodzaju prób. Obawy nie opuszczały mnie nawet wtedy, gdy wyglądało na to, że wszystko pójdzie gładko. Janka chętnie przychodziła raz w tygodniu, albo dwa, zawsze też przynosiła skrzętnie zanotowane wydarzenia za ubiegły okres. Mniej wychodziła z domu i wydawało się, że zrywa kontakt z kumplami. Skąd więc obawy? Skąd niewiara w zwycięstwo? Dyktowały je tak niebłahe czynniki, jak świadomość, że sprowadzenie na uczciwe tory młodzieży, która dysponowała niemałymi sumami pieniędzy, zdobytymi w tak „lekki" sposób — nie jest rzeczą prostą. Tym bardziej, gdy ma się przed sobą dziewczynę seksualnie rozbudzoną, i gdy wiadomo, że i dom — z powodu nieumiejętności pedagogicznych ciotki — i Liceum przez bezmyślność i formalizm dyrektorki i złośliwość pewnych nauczycieli, nie tylko nie zachęcały do zmiany trybu życia, lecz wręcz ją odstręczały.

Wiedziałem, że Janka jako wice-herszt musi się odznaczać siłą woli i mocnym charakterem. „Mięczak" nie potrafi przewodzić. Jeśli dziewczyna potrafiła przewodzić chłopcom, świadczy to w równym stopniu negatywnie o jej morale i pozytywnie — jako o osobie nieprzeciętnej, zdolnej i obdarzonej siłą woli. A są to właściwości niezwykle cenne, jeśli są skierowane na czyny społecznie pożyteczne. Ale w jaki sposób nakierować te właściwości we właściwe koryto, jeśli przez czas dłuższy już były używane do czynów wybitnie aspołecznych, amoralnych, wręcz przestępczych? Cóż, sama spowiedź, krótki okres względnego spokoju o niczym jeszcze nie świadczy, tym bardziej, że uczestniczyła w bijatykach z dziewczętami — „lepszymi" — z Powązek, jak to określiła „ze względów honorowych". Kazano jej się stawić — więc się stawiła, żeby nie być posądzoną o tchórzostwo. Wiedziałem również o eskapadach do innej dzielnicy miasta, na Grochów, „do cioci", a to oznaczało popijawę i — nie tylko popijawę... Jedyną pociechą było to, że eskapady te zdarzały się coraz rzadziej, i że mówiła o nich z niesmakiem.

Pocieszające było i to, że gdy się na nią oburzałem, gdy byłem gotów z nią zerwać — czuła się złamana, przybita i smutna. A więc potrzebowała męskiego, ojcowskiego karcącego słowa. Z bandą bielańsko-marymoncką kontaktu nie utrzymywała, a działalność jej właściwie sparaliżowała. Listy pisane do niej z prośbą o dalszy jej udział, gdyż wszystko się rwie, następnie otrzymywane pogróżki — świadczyły dobitnie o prawdziwości jej słów.

Pisał do niej wówczas już 22-letni herszt bandy Wojtek, pseudonim „Dobre serce": „Słyszałem, że spotykasz się z jakimś starszym panem, i że pod jego wpływem się zaniedbujesz. Pamiętaj, że nie wolno o niczym mówić. To jest karalne!"

Błędne będzie przypuszczenie, że Wojtek pochodzi z jakiegoś zdeprawowanego środowiska. Przeciwnie. Jest najstarszym synem inżyniera i matki — stomatologa, który tak podaje w swojej biografii: (Każdy z uczestników bandy podawał dane o sobie i przechodził okres próbny): „Urodziłem się 26.VIII.1940 r. we Wrocławiu. Z opowiadań matki wiem, że od małego nie lubiłem domu i nigdy nie byłem przywiązany do rodziny. Matka twierdzi, że to dlatego, że miałem za dobrze w domu. Może i dlatego, ale mnie to zupełnie nie obchodzi. Mają pieniądze, więc musi być dobrze. W domu mi się nudziło, więc szukałem rozrywki na ulicy. Ulica to niezawodne miejsce, gdzie zawsze można znaleźć rozrywkę. Mając 15 lat zacząłem sprowadzać dziewczynki do domu. Matka z ojcem pracowali, a brat młodszy o dwa lata ganiał po podwórzu. „Te błogie chwile" urozmaicaliśmy sobie różnymi napojami miłości. Jeżeli dziewczyna była zbyt łatwa, nie zajmowałem się nią zbyt długo. Jeżeli była trudna, to bawiłem się aż do skutku. Potem zaczęły się wypady na różne źródła pieniędzy. Obecnie nie uczę się i nie pracuję. Po co, kiedy mam dziewczynki, które są na tyle uprzejme, że mi uprzyjemniają życie".

Podałem wynurzenia herszta, pochodzącego z inteligenckiej rodziny. A przecież większość bielańsko-marymonckiego towarzystwa właśnie z takich rodzin się werbowała, poza jednym „podrywaczem" aut i motocykli, używanym do najbrudniejszej roboty (siedzi obecnie). Trzeba wiedzieć, że właśnie ci, ogładzeni, eleganccy goguse, są najniebezpieczniejsi. Mają bowiem wewnętrzne przekonanie, że w razie czegoś poważniejszego, w razie „wsypy" rodzice — często wpływowi — potrafią ich wybronić... Dlatego też pozwalają sobie na mocne, pełne emocji wyczyny, wagary, bimbanie z pracy, przesiadywanie całymi dniami i wieczorami w „Spotkaniu" i innych kawiarniach. Czynili to z nudów i, jak nudzący się amerykańscy... milionerzy — szukali „szoków". Groźba Wojtka skierowana do Janki — nie była więc czczą gadaniną. Jednak nic sobie z tego nie robiła. Tłumaczyła się przed nim złym stanem zdrowia, że jest tropiona przez „gliny" i temu podobnymi wykrętami. Ale świadomość, że może w każdej chwili rozwinąć działalność „czterdziestu rozbójników" niepokoiła, przecież jest to dla takiej Janki kuszącą możliwością...

I oto nastąpił najbardziej krytyczny okres. Wiosna. Organizm młodej dziewczyny, nadwerężony zbyt bujnym życiem, częstymi prywatkami obficie zakrapianymi „ognistą wodą", jak nazywają napoje alkoholowe, pełne napięcia dni przed dokonaniem „skoku" i po udanej zdobyczy wina, słodyczy, a często i forsy — wszystko to fatalnie odbiło się na zdrowiu Janki. Lekarka skierowała ją do szpitala na przebadanie. W rozmowach ze mną zawsze podkreślała, że boi się wiosny i lata. Że wtedy trudno jej usiedzieć, że ponosi ją i że rodzą się w niej najdziksze pomysły. A szpital wypadł na wiosnę. W dodatku znajdował się w nim na leczeniu Algierczycy — piękni bruneci, działający jak magnes...

Zapomniała się tak dalece, że wyszła ze szpitala z ciążą i zupełnie rozhuśtana psychicznie. Gwoli uspokojenia malkontentów i pesymistów chcę zaznaczyć, że po wyjściu ze szpitala Janka nie mogła się ze mną kontaktować, gdyż byłem na kuracji poza Warszawą. Pisała do mnie, owszem, szczerze, przyznała się nawet, że wymontowała w domu membranę z telefonu, żeby uniemożliwić szkole kontaktowanie się z ciotką, a sobie ułatwić bezkarne wagarowanie....

Wszystkie te jej wyczyny wyprowadziły mnie całkowicie z równowagi. Po przyjeździe postawiłem sprawę na ostrzu noża. „Nie będę dla ciebie spowiednikiem, odpuszczającym grzechy! Mam tego dość! Musisz wybierać — albo weźmiesz się w garść, albo zwiewaj sprzed moich oczu!"

Niebawem dowiedziałem się od ciotki, że dziewczyna jest przygnębiona. Tłumaczyłem to ciążą i czekającym ją zabiegiem. Nie, nie tylko to. Bała się, że zostaje bez oparcia. W szkole również stosunki się pogorszyły z powodu przeniesienia jej do równoległej klasy, w której nie było już ukochanej polonistki. Trapił ją także brak zapału do pracy z „maluchami" (do Liceum Wychowawczyń Przedszkoli poszła wbrew woli). Toteż karne przeniesienie do równoległej klasy potęgowało zniechęcenie do szkoły. Rzecz znamienna: Janka, pomimo z górą miesięcznej nieobecności w szkole potrafiła nadrobić zasadnicze braki. Wzięła się w garść, przysiadła fałdów i wyszła obronną ręką niemal ze wszystkich przedmiotów. Tylko matematyczka uważała za konieczne dać jej poprawkę — był to zainicjowany przez dyrektorkę „zabieg" wychowawczy i kara za nieobecność w szkole...

Brak zamiłowania do swego przyszłego zawodu i biurokratyczno-bezduszny stosunek dyrektorki spowodowały zdecydowanie wrogi stosunek Janki do szkoły. Po dłuższym zastanowieniu postanowiłem uciec się do pomocy dyrektorki Liceum Ogólnokształcącego. Dyrektorki, która należy do nielicznych w Warszawie pedagogów odważnych, nie bojących się dzieci o złej opinii, umiejących pozyskać ucznia, dbających o to, by dziecko do nauki i pracy zachęcić. Mówię o osobie dyrektora nieprzypadkowo. To dyrektor ustawia radę pedagogiczną, mimo trudności dobiera sobie personel, dba o stabilność kadr nauczycielskich. Jeśli np. w Liceum im. Traugutta zmienia się aż nazbyt często personel nauczycielski — świadczy to o niezdrowej tam atmosferze stworzonej przez dyrektora. W szkole, do której miała uczęszczać Janka „wszystko gra": jest i serdeczność i troska. Wymaga się od ucznia dużo, ale i dokłada się starań, by mu pomóc w pokonaniu trudności. Tę więc szkołę upatrzyłem i za zgodą władz oświatowych Janka została uczennicą „ogólniaka". I co za metamorfoza! jaka radość tej „zepsutej" dziewczyny! Nawet gdy czuje się źle (a ostatnio często zapada na zdrowiu) — nie chce opuścić lekcji. Ta „zawodowo" wagarująca dziewczyna nie chce nawet wtedy opuszczać lekcji, gdy to jest zalecone przez lekarza. Jeśli tego mało — argument ostatni: Janka prosiła mnie bym się zajął jej szesnastoletnią, cioteczną siostrą, która „zadaje się z łajdusami i pije. Czy nie warto by z nią porozmawiać? Poszukać jakich środków zaradczych? Szkoda dziewczyny" — argumentowała Janka.

Gdy czasami zahaczamy o sprawy młodzieży przestępczej, obserwuję charakterystyczną reakcję Janki. Pewnego razu powiedziała:

— Miał pan rację. Oni wszyscy są chojrakami, gdy są w kupie. Pojedynczo są tchórzami, obrzydliwymi tchórzami. Aż się dziwię, że dawniej tego nie zauważyłam. A może właśnie odpowiadał mi ich brak charakteru? Mogłam nimi kierować i narzucać swoją wolę. Wie pan, myślę, że bardzo się zestarzałam, straciłam ochotę do rozrób, a przecież tak się w tym wyżywałam... Zupełnie się popsułam — dodaje z oddaniem zadowolenia w głosie.

By nie pomyślano, że Janka stała się pod każdym względem wzorową dziewczyną muszę dodać, że nadal pali i to sporo. Szkoła może byłaby zgorszona wiedząc o tym, ja się nie gorszę. Daję jej bowiem tylko takie polecenia, co do których mam pewność, że będą wykonane, nie stwarzam natomiast żadnych szans, by miała przede mną cokolwiek ukrywać, by potrzebowała mnie okłamywać. W tym duchu również ustaliliśmy z ciotką tryb postępowania. A to daje najlepsze wyniki. Jak najmniej zakazów i nakazów. Dewizą nasza: odwoływanie się do jej własnego rozumu i woli, uczenie dokonywania właściwego wyboru, właściwej decyzji. Gdy wrażliwość zostaje obudzona — nie ma obawy niewłaściwego wyboru. Jest obecnie serdeczną przyjaciółką ciotki. Pomaga w gospodarstwie. Uczy się. Myśli poważnie o rozpoczęciu pracy.

Janka wzmocniła moją wiarę w możliwość reedukacji dziewcząt głęboko nawet zdemoralizowanych — jeżeli tylko posiadają bodaj odrobinę woli i ambicji.

I za to jestem jej wdzięczny.

Fot. E. Hartwig

JAN KUSZCZA

Notatnik z Bułgarii

KOPRIWSZTICA

W Bułgarii spędziliśmy dwa tygodnie między 7 a 22 listopada wraz z krakowskim poetą Tadeuszem Nowakiem i wrocławskim lwowianinem, poetą Kazimierzem Koszutskim. Między przyjazdem a powrotem przez cały tydzień służył nam sprawny i wygodny „GAZ", prowadzony doświadczonymi rękoma kierowcy o imieniu Welczo. W drodze towarzyszył nam krytyk szczególnie interesujący się plastyką, pliskę ceniący wyżej niż jakiekolwiek inne koniaki świata, Antoni Diakow.

W takim więc towarzystwie znaleźliśmy się w Kopriwszticy, która leży w odległości jakichś stu kilometrów górskiej przeważnie drogi na wschód od Sofii. To miasto było po stolicy pierwsze, więc chłonąłem je świeżą wrażliwością turysty, na razie nie uświadamiającego sobie, że później trzeba będzie liczne wrażenia wyeliminować, z ich natłoku i bogactwa ocalać jedynie niektóre.

Stara część Kopriwszticy, to wspinające się pod górę uliczki, wyłożone nie ciosanym kamieniem, którym towarzyszą drewniane domki piętrowe, charakterystyczne dla starego bułgarskiego wiejsko-miejskiego budownictwa: wysunięte nad ulicę pięterka i balkony, podtrzymywane przez łukowate wsporniki; galeryjki z ornamentami; rzeźby w drzewie; podwórka ukryte za murkami i bramami.

Prawie co drugi domek to muzeum, związane z życiem wybitnych Bułgarów lub etnograficzne. W tym wypadku przez szybę ogląda się skompletowane warsztaty rzemieślnicze, wnętrza sklepików, przy ladach sterczą manekiny ubrane w odpowiednie stroje. Wydaje się, że wystarczy zapukać a odsunie się rama z szybą lub otworzą się drzwi i zostaniemy obsłużeni według dziewiętnastowiecznych możliwości i wymagań.

Tu się zaczęło tragiczne w swoim przebiegu, przedwcześnie na skutek różnych zbiegów okoliczności wywołane powstanie kwietniowe 1876 roku przeciwko wielowiekowemu ciemiężycy, najeźdźcy tureckiemu. Oto przechodzimy przez obłęk kamiennego mostku, na którym zabito pierwszego Turka, wartownika. Oczywiście, chwalę się, że dobrze znam powieść Iwana Wazowa, najwybitniejszego klasyka prozy bułgarskiej, poświęconą powstaniu. „Pod jarzmem" po raz pierwszy u nas przetłumaczono jeszcze w 1895 roku.

W pobliżu cerkiewki i cmentarzyka znajduje się pod drzewami jeden z najbardziej przejmujących pomników zarówno jeśli chodzi o koncepcję jak i o prostotę wykonania. Pod kamiennym daszkiem, przykrywającym pionową płytę, siedzi zbolała matka, czekająca na syna. Jest to matka Dimczo Debelianowa, poety, który zginął śmiercią żołnierza w 1916 roku. Na płycie cytat z jego wiersza: „I o zmierzchu matka czeka, żeby wróciło jej dziecię...". Z wyrazistych rysów twarzy łatwo odczytać rozpacz wszystkich daremnie czekających matek z różnych okresów dziejów.

W KRAJOBRAZIE

Czarny „GAZ" nawija pod koła asfalt, kostkę a czasem po prostu brukowiec dróg górskich, to się jedzie ponad kotlinami i jarami, to znowu między wzgórzami i szczytami, rzadziej wśród lekko sfalowanych płaszczyzn. Do drogi podpełzają winnice, których krzewy przed zimą trzeba strzyc, podchodzą lasy, otaczające łyse skały wysokich wzniesień. Czasem są to serpentyny, błyskawicznie powtarzające się w rozmaitych barwnych wersjach. Strzałka w czasie podróży częściej wskazuje 40 i 50 km, niż 80 czy 100 km, mimo iż ruch samochodów i motocykli w niczym nie przypomina szosy Warszawa — Łódź nawet w pobliżu Sofii, gdyśmy wracali z Płowdiwu.

Gdy w skroniach nazbyt często odczuwa się zmianę ciśnienia, gdy dowiaduję się od kolegi Diakowa, że 80-kilometrowa droga Płowdiw — Smoljan liczy sobie 998 zakrętów, gdy przejeżdżamy w pobliżu najdłuższego tunelu kolejowego Koznicy, wydrążonego na przestrzeni siedmiu kilometrów, to myślę o tym jak właściwie kosztowne z gospodarczego punktu widzenia bywa posiadanie gór i po raz pierwszy w życiu jestem zrdowolony z tego, że w zasadzie mieszkamy na nizinach. Nie widzieliśmy widnokręgów bez takich czy innych grzbietów górskich — w najskromniejszym wypadku były to trackie kurhany, kryjące jeszcze niejedną wartość muzealną — a potem z kolei bez morza, które jest zupełnie inną kategorią.

Moje osobiste olśnienie wynika ze spotkania z coraz to innymi uprawami, najczęściej zaś z winnicami, które dotąd oglądałem jedynie w Zielonej Górze. Gdy przejeżdżamy przez nizinę, zaczynającą się przed Płowdiwem, to jest to czarna lub brązowoczerwona ziemia, która według tutejszego powiedzonka „tylko dzieci nie rodzi"...

Widziało się i zielone krzewy papryki, pociemniałe łodygi bawełny o torebkach wielkości orzecha włoskiego, które rozrywa biały puch z daleka przypominający dmuchawce; zmagazynowane już w przewiewnych szopach wiejskich kooperatyw burasztynowe kaczany kukurydzy; wysoki ryż, tytoń, ogołocone krzewy różane.

Na polach częściej widzi się pracujące kobiety, niż mężczyzn. Ci wolą łazić z dubeltówkami, szukając zajęcy i kuropatw.

Rzecz jasna, że wszędzie spotyka się stada „kożuszków", czyli owiec w asyście pastuchów — „owczarów", obutych w kalosze, kierpce lub chodaki, zaopatrzonych jak w berła w rozmaitego rodzaju długie laski, często ornamentowane. „Owczar", jego odmienny w różnych górskich okolicach strój i jego narzędzia, to również zasadnicze eksponaty muzeów etnograficzno-regionalnych, a także i sofijskiego, mieszczącego się wspólnie z galerią sztuki w dawnym pałacu cara Borysa naprzeciwko mauzoleum Dymitrowa, przy którym co godzina zmienia się warta w malowniczych historycznych strojach.

CERKWIE, IKONY...

Nesebyr — tę bułgarską nazwę miasteczko otrzymało jeszcze w IX wieku — posiadał kiedyś aż 40 cerkwi. W rozmaitym stanie, prezentujących częściowo przeżarte i zatarte przez czas freski — zachowało się ich aż piętnaście, jedna pochodzi z VI wieku.

Oszołomieni wiekami, materialnymi śladami wieków sprzed naszej ery i z początków naszej, bronimy się przed inwazją przeszłości, w Tyrnowie zaczynamy sobie dworować: „A ten przebiegający przez uliczkę kot, z którego pochodzi wieku?" A potem nabożnie milkniemy w cerkwi cara Arsena, odczytując tekst tablicy o wydarzeniach z 1230 roku.

W muzeum sztuki cerkiewnej w Sofii oglądamy pergaminy z X—XII wieków i ikony. Oto barelief-ikona z Sozopolu z X wieku. Oto ikony późniejsze. Na deskach — nieco przez korniki kiedyś napoczętych, dziś pieczołowicie konserwowanych — przede wszystkim złoto, a następnie czerwień, brąz, błękit. Dwie ikony o tym samym temacie — 40 męczenników — wywierają swoim rytmem w potraktowaniu postaci, naiwnym, ale tylko pozornie przedstawieniem sytuacji, niezapomniane wrażenie. Niejeden dobry obraz współczesny tam może znaleźć swój artystyczny odnośnik.

W Pazardżyku przed Płowdiwem oglądamy drewniany ikonostas w Soborze Bogurodzicy, będący poematem sztuki snycerskiej. Plątanina motywów roślinnych, sceny religijne i świeckie, bogata całość skomponowana z uwzględnieniem najdrobniejszego szczegółu. Ludowy artysta Freczkowski stworzył to dzieło jakieś 120 lat temu. Pochodził z jugosłowiańskiej części Macedonii. 7 podległych mu rzeźbiarzy pracowało przez dziesięć lat, umiejętnie i z niewątpliwym natchnieniem posługując się 460 odmianami narzędzi, utrwalając wyobraźnię i fantazję w drzewie, którym jest gotowany orzech włoski.

Teraz żałuję, że mało mieliśmy czasu dla współczesności. Dla rozbudowującego się przemysłu. (Celne powiedzenie jednego z poznanych Bułgarów: „Eksportować paprykę i pomidory to bardzo kłopotliwe i niewdzięczne zajęcie!"). Dla prawie całkowicie skolektywizowanych wsi, o których życiu różne słyszało się opinie.

Gdy w którymś z miast jeden z satyryków przypomina nam przy plisce jedną ze swoich fraszek, czujemy się nieco usprawiedliwieni, ale na krótko, na krótko. Fraszka zaś brzmi w dosłownym przekładzie następująco:

„Nic nowego nie ma w teraźniejszości,
nic starego w starożytności:
pijak kocha swój kieliszek,
głupiec kocha swoją żonę..."

Sceptycznie chrząknijmy w tym miejscu!

PŁOWDIW

Drugie po Sofii „miasto siedmiu wzgórz", tracka stolica Ewmolpias, Filippopolis Filipa II Macedońskiego, rzymskie Trimontium, położone niemal u wierzchołka trójkątnej kotliny, niziny tracyjskiej ciągnącej się hen ku Morzu Czarnemu, ożywionej przez Maricę i jej dopływy.

Choć nocujemy tutaj dwie noce w hotelu, oczywiście, „Trimontianum" — zwiedzamy jedynie stara część miasta, Trójwzgórze — Trichelmeto. Ze wzgórz, gdyby nie wilgotna mgła, godzinami można byłoby wpatrywać się w rozległe widoki lub spacerować wśród drzew.

Trzeba, by się poddać przeszłości, przejść przez zachowaną z czasów rzymskich bramę Hisarkapia, na ocalałych murach obronnych świetnie ulokowały się domy i domki.

Wjeżdżamy też na Wzgórze Wyzwolicieli, któremu patronuje z cokołu — nie tylko wzgórzu, ale i okolicy — naturalistycznie potraktowana kamienna postać żołnierza radzieckiej piechoty z automatem, o wysokości ponad dziesięciometrowej.

Mgła i deszcz, to czwartek 12. XI. 1964 roku.

W muzeum archeologicznym, mieszczącym się tuż obok bazaru warzywno-owocowego, ale też i targu na ptactwo domowe, trzymane, niestety, za nogi główkami w dół — wnikliwie wpatrujemy się w złoty skarb tracki, pochodzący z III wieku poprzedniej ery. Nie tyle zresztą wpatrujemy się, co podziwiamy, próbując opanować zdumienie nad precyzją sztuki złotniczej, umiejętnością zrobienia z czternastu ponoć kilogramów złota jedynego w swoim rodzaju arcydzieła.

Składa się nań dziewięć naczyń, z których cztery, przedstawiające stylizowane głowy jeleni i kozy z częścią korpusu służyły do picia wina jakimś wielmożom. Naczynia oplatają wypukłe sceny z mitologii greckiej.

Ale trzeba odetchnąć, należy się coś i ciału, więc wędrujemy na wieczór do gospody-piwnicy, zwanej studnią, gdyż w studni, mieszczącej się pośrodku lokalu, ziębi się wino, napoje alkoholowe.

Nastrój tu beztroski — zwłaszcza, iż przy łączyła się do nas młoda Bułgarka — spożywamy kolację, słuchając piosenek z Gór Rodopskich, wykonywanych przez przystojnego mężczyznę w ludowym stroju.

Mężczyzna ma nawet zatkniętą krócicę czy pistolet za szerokim kolorowym pasem. Akompaniują mu trzej grajkowie. Mężczyzna wygląda tak, jakby konno przyjechał skądś z gór na występ, by nad ranem cwałem znowu do nich wrócić. Żart mój mu się podoba, więc śpiewa jeszcze dłużej. Przede wszystkim i oczywiście o dziewczynach i o miłości.

Nasz pobyt przedłuża, się koledzy raczą się obficie, ja muszę poprzestać na serze, próbuję, co nie zawsze mi się udaje, zachować dietę. Ha, gdzież te czasy sprzed ery diety!

STARA ZAGORA

Tu odczuwamy różnice klimatyczne, miejscowi chodzą bez płaszczy. Stara Zagora — tracyjskie przed wiekami osiedle Beroe nie jest starą, gdyż była doszczętnie zrujnowana i spalona. Odbudowywać się zaczęła po przełomowym w historii Bułgarów 1878 roku. Muzeum etnograficzne; muzeum i sąsiadujące z nim mieszkanie trzydziestoletniego poety Geo (Georgija) Milewa, zamordowanego przez bułgarsko-carską policję w 1925 roku m. in. za poemat o rewolucyjnych wydarzeniach z 1923 roku.

Wieczorem w restauracji hotelowej poznajemy jednego z najstarszych poetów, związanego w przeszłości z symbolizmem — lubiącego Błoka, Verhaerena, Mallarmé — Ivana Mitzcheffa, przyjaciela Milewa. Stary pan trzyma się krzepko, rozpoczyna się próbowanie wina i pliski, co do mnie sięgam po winogronówkę (grozdiówkę): ogniście mocna, zapachem przypominająca lata wojenne, bo najrzetelniejszy samogon.

Późną godziną rozbuszowała się autentyczna burza z błyskawicami i piorunami, po kwadransie ulica przemienia się, ku naszemu zdziwieniu, w rwący potok, skąd aż tyle wody?

Nazajutrz, po zapoznaniu się z ekspozycjami dotyczącymi silnych w tych stronach ruchów rewolucyjnych, uczynny dyrektor muzeum podjeżdża z nami do zamkniętego na zamek włazu, znajdującego się na jezdni jednej z ulic. Obok włazu mieści się niewysoka kopuła, również na jezdni. Schodami schodzimy w dół, gdzie oglądamy duży kwadrat nieco poszczerbionej mozaiki, będącej posadzką rzymskiego domu, ściślej: tablinum, z III wieku naszej ery, odgrzebaną pięć lat temu.

Znacznie wcześniej rozstaliśmy się z leniwie płynącą, pełną wysepek i spłachci piasku Maricą, teraz trzeba podążać ku morzu, ku Burgas i Słonecznemu Brzegowi, ku coraz łagodniejszemu powietrzu, porównywać czarnomorskie wybrzeże z bałtyckim.

Pierwsza różnica, to znacznie większe zasolenie wody, wydobywa się z niej sól, a druga to urodzajność pobrzeża, w niektórych miejscach wodę od winnic oddziela wąski pas piasku. Widzimy brzegi doskonale ucywilizowane, a przecież nic tu nie jest tak częstą w podobnych sytuacjach sprzecznością.

SŁONECZNY BRZEG — ZŁOTE PIASKI — SZIPKA

Nareszcie słońce zaczyna nam trochę sprzyjać, możemy więc wyobrazić tę Bułgarię, o jakiej najczęściej u nas od urlopowiczów się słyszy.

Przedtem jednak trzeba zatrzymać się w Burgasie, odwiedzić rozległy park, ciągnący się wzdłuż morskiego brzegu, zerknąć na kamień z medalionowym wizerunkiem Mickiewicza, upamiętniający jego tułaczy tutaj pobyt.

Dziwnie nastrajają białe, wysokie hotele Słonecznego Brzegu, obecnie zupełnie puste, ledwie mające w nocy. Zatrzymujemy się w jedynym czynnym pawilonowym hoteliku „Koral", z którego będziemy robili wspaniałe wypady po prostu nad czysty, usiany wielobarwnymi muszelkami brzeg morski lub do Nesebyru tylko mostem połączonego z lądem, miasteczka starych cerkwi z trudem i pieczołowicie restaurowanych, czy do Sozopolu.

Miasteczka te, ich domki drewniane lub z kamienia i gliny, wąskie uliczki, tyki konstruujące kształt altanek, ocienione żółkniejącym winogradem, rozwieszone sieci i rozwieszona bielizna, ogólnym swoim charakterem przypominają fragmenty neorealistycznych filmów włoskich.

Wszystko tutaj, prócz rybaków wracających ze skumbriami, w rozleniwieniu i nudzie czeka na sezon. Jedni na okazję do jakiejś transakcji, inni — Bułgarzy i Cyganie — na łatwe sukcesy u kobiet, zjeżdżających się od maja do października na wypoczynek. Jak z rozmów wynika, liczą zwłaszcza na nasze rodaczki.

Wieczorem, gdy się staje nad morzem i czeka na faliste baranki fal, przy niewielkim nawet wysiłku można sobie wyobrazić ów wielojęzyczny rozgwar, a potem wracając na kolację do restauracyjki, uzmysłowić ruch, jaki tu budziła i będzie budzić orkiestra. Teraz w restauracyjce jest zaledwie kilku klientów, ale jeden z kelnerów chętnie popisuje się dobrymi umiejętnościami — u nas w Łodzi otrzymałby złotą odznakę Doskonałego Kelnera — orkiestra niemal się wzrusza, gdy Koszutski zamawia u niej songi z „Opery za trzy grosze", a dla niej dwie butelki taniego wina czerwonego, gdyż musimy żyć dość oszczędnie, aczkolwiek jesteśmy wdzięczni Komitetowi Łączności z Zagranicą i jego miłej przedstawicielce w Sofii p. Werze Kujewa za świetną organizację naszego pobytu.

Drugiego ranka we mgle jedziemy ku Warnie. Młoda Bułgarka wraca z wesela i prosi, byśmy ją wzięli do wozu wraz z jej kuzynkiem, uczniakiem.

Nie tylko wzgórza, i drzewa, ale nawet szosę przesłania mgła, więc Welczo jest szczególnie ostrożny.

Emablujemy w trójkę na prześcigi pannę Złatkę, Diakow chętnie w tym pośredniczy jako tłumacz. Wyzbywając się początkowego onieśmielenia, panna Złatka umiejętnie bierze udział w tej zabawie. Gdy wysiada w Białej — a co jakiś czas pobłyskuje morze — Koszutski na pożegnanie całuje ją w rękę, w jej okrzyku, złożonym z wielokrotnego „ooo", jest zdziwienie i zadowolenie. Prosi, byśmy chwilę poczekali. Wraca z matką i przynosi oplecioną w łozę paralitrową butlę, napełnioną winem, jakieś dwie surowe ryby, pono bardzo smaczne w stanie właśnie surowym, duże jabłka.

W Warnie i Złotych Piaskach prawie nie wysiadamy z wozu, czeka nas długa droga do Tyrnowa, tylko przez szyby podziwiamy hotele znakomicie wkomponowane w pagórkowaty teren, zatrzymujemy się dopiero przy świetnie rozwiązanym pomniku — mauzoleum upamiętniającym śmierć Warneńczyka w 1444 roku. Gdyby był wygrał młodziutki król polski ową fatalną bitwę, kto wie, inaczej zapewne i szczęśliwiej potoczyłyby się losy bułgarskie.

Zostaje w pamięci obelisk z żelaznym krzyżem, napis „Vladislao Varnensi", herby: polski, bułgarski i węgierski. Mauzoleum uroczyście przekazano społeczeństwu, jak mnie poinformowano, w 1934 roku.

Na naszą wrażliwość czeka Tyrnowo, a nazajutrz coraz to zmieniające się poziomy, licząca mnóstwo serpentyn droga w poprzek Starej Płaniny do Płowdiwu czyli niejako z północnej Bułgarii do południowej.

Zatrzymujemy się tylko w Kołarowgradzie (dawna nazwa: Szumen), mieście włókienniczym. Ledwie rzucamy okiem na stary, mocno nadniszczony meczet, z zaciekawieniem oglądamy wędrującego wolnym spacerkiem, podpierającego się kijaszkiem siwego chodzę, poły jego czarnego płaszcza rozwiewa wiatr.

Krótko też cieszymy się Gabrowem, zatrzymujemy się potem dopiero przed wzgórzem generała Mikołaja Stoletowa z pomnikiem upamiętniającym krwawe walki Rosjan i bułgarskiego pospolitego ruszenia w 1877 roku, widok spod pomnika musi być fantastyczny, ale nie decydujemy się na zdobycie 995 schodków. Gdy się jeszcze przypomni pomnik konnego Aleksandra II w Sofii, myśli się o naszej i bułgarskiej odmienności zakrętów historii.

Jedziemy serpentyną między szczytami, z których jeden ma 1524 m, a drugi 1511, co jakiś czas odczuwamy łupanie w skroniach, tutaj także, mimo dobrego słońca, robi się zimnawo.

PO POLSKU

W piątek 20.XI. spotykamy się z liczną młodzieżą bułgarską, uczącą się polskiego, w naszym Ośrodku Kultury. Kursy te prowadzi p. Teresa Dąbek, długoletni lektor języka polskiego na uniwersytecie sofijskim. Czytamy wiersze, udaje się nam nawiązać dość żywy kontakt ze słuchaczami, wśród których przeważają dziewczęta i kobiety. Sądząc z reakcji, wiele wierszy zostało dobrze zrozumianych. Może najwięcej kłopotu mieli słuchacze z zagęszczonymi, zmetaforyzowanymi utworami T. Nowaka. Pytania dotyczą: eksperymentu literackiego, wpływów freudyzmu — właściwych literaturze naszego poprzedniego dwudziestolecia — i egzystencjalizmu; innego typu, niż w latach schematyzmu, związków twórczości z teraźniejszością.

Dzięki p. Irenie Doliwa — łodziance z urodzenia i ze studiów — w Ośrodku czujemy się doskonale.

O kilka dni wcześniej, bo we wtorek 17.XI., uczestniczyliśmy w innego rodzaju spotkaniu. Warszawski Teatr Współczesny dawał w Teatrze im. Wazowa pożegnalne przedstawienie złożone z dwóch sztuk Sławomira Mrożka: „Czarowna noc" i „Zabawa". Niemal wszystkie miejsca na olbrzymiej widowni były zajęte, wyczuwa się zainteresowanie, a w aplauzach właściwą percepcję.

DWA WIECZORY

Wielu poznaliśmy poetów i prozaików, rozmowy były ciekawe, młodzi chętnie czytali z maszynopisów i rękopisów swoje wiersze, świadczące o poszukiwaniu nowych środków wyrazu, pogłębianiu współczesnej problematyki. Okazało się jednak, że znajomość rosyjskiego nie zawsze zapewnia porozumienie, myli graficzny kształt języków, cechują je głębokie różnice strukturalne i wielkie odmienności leksykalne, aczkolwiek napisy na szyldach i tablicach informacyjnych, hasła polityczne i wezwania rozumiało się bez większego wysiłku.

W bajecznym Tyrnowie — mieście o wielu amfiteatralnych panoramach, o wzgórzach, przez które przebija się Jantra, dźwigająca romantyczne mosty — poznaliśmy się z wybitnym i popularnym satyrykiem.

Radoj Ralin mieszka w Sofii i aż dwa wieczory spędziliśmy u nader gościnnego gospodarza, stykając się z innymi jego gośćmi, satyrykami i poetami. Dobroduszny a jednocześnie dowcipny gawędziarz Radoj mógłby odnosić sukcesy autorskie w każdym środowisku.

U niego też spotkaliśmy wybitną poetkę chorwacko-serbską z Zagrzebia, p. Vesnę Parun, znaną u nas w przekładach. Widywałem nieco poetek, ale przystojniejszej nie udało mi się spotkać. Najlepszą z kolei odmianę urody bułgarskiej i bujne warkocze zaprezentowała utalentowana młoda poetka, p. Vania (Janka?) Petkova.

Na pożegnanie Radoj Ralin obdarzył mnie nie tylko zbiorem humoresek, ale i przepisem na coctail, którym nas szczodrze raczył. Oto jego „recipe": whisky 0,5 l, śliwowicy 1 l, mastiki 1,0 l, pliski 0,5 l, mentolówki 0,5 l, rumu 0,5 l. Ralin twierdzi, że ilościowo jest to porcja na trzy osoby! Ach, nie radzę w to wierzyć...

Gdyśmy odlatywali, w Sofii było zimniej aniżeli tego samego dnia u nas.

I znowu po jakimś czasie pod samolotem IŁ-14 pojawia się jak gdyby nagle zastygły sztorm jakiegoś mlecznosiwego morza.

Osiemdziesięcioletni Mauriac

10 października tego roku Francois Mauriac ukończy 80 lat życia. Przed trzynastu laty otrzymał nagrodę Nobla, a przed sześciu wydał autobiografię „Memoires interieurs", która obecnie ukazała się po polsku pt. „Pamiętnik życia wewnętrznego" w doskonałym tłumaczeniu Jadwigi Nałęcz. Książka ta stanowi przedmiot naszego zainteresowania. Nim się jednak nią zajmiemy, chciałbym przypomnieć, że Francois Mauriac jako jedyny z członków Akademii Francuskiej brał udział w Ruchu Oporu, a przed wojną występował publicznie przeciwko podbojowi Abisynii przez Mussoliniego, przeciwko generałowi Franco i wreszcie przeciwko polityce Monachium. Mauriac jest katolikiem, lecz należy do tego ich odłamu, który sprawia katolicyzmowi najwięcej kłopotu.

Znany dziennikarz francuski, Kleber Hedens, 4 lutego 1961 roku napisał w „Paris-Presse" między innymi: „Zwykłe artykuły dziennikarskie mogą stworzyć — wbrew banalnej opinii — najtrwalszą część dorobku literackiego. Trzeba być ślepym, żeby nie widzieć, do jakiego stopnia artykuły Mauriaca górują nad jego powieściami".

Mimo podziwu, jaki mam dla publicystycznej działalności Mauriaca, nie mogę zgodzić się z Kleberem Hedensem. Można by co najwyżej powiedzieć, że obok rozległej twórczości powieściowej Mauriaca, bardzo ważną rolę spełnia jego pisarstwo krytyczne i felietonowe, jakie dawniej uprawiał on na łamach paryskiego tygodnika „l'Express" a obecnie w „Figaro litteraire". Ale swoją sławę pisarską zawdzięcza po wieściopisarstwu, a nagrodę Nobla — jak sam gdzieś kiedyś wyznał — przyznano mu przede wszystkim za powieść pt. „Faryzeuszka".

Jeśli o mnie chodzi, wyznaję, że najsilniejsze wrażenie zrobiło na mnie jego „Kłębowisko żmij", które czytałem jeszcze przed wojną. O naszych wrażeniach czytelniczych decyduje w dużej mierze moment, w jakim bierzemy daną książkę do ręki. Widocznie „Kłębowisko żmij" czytałem w chwili najodpowiedniejszej, skoro tak bardzo zachowało się w mej pamięci. W notatniku z lektury, jaki wówczas prowadziłem i który przechował mi się do tej pory, odnajduję cytaty z „Kłębowiska żmij" i uwagę z przedmowy do polskiego wydania tej powieści, gdzie czytamy: „Szczęście, błogość, doskonałość duchowa nie będą nigdy tematami dla powieściopisarza". Może więc jest jakimś zasadniczym nieporozumieniem żądanie od pisarzy utworów optymistycznych i krzepiących, gdy naturalną domeną sztuki są cierpienia i klęski. We wspomnianym „Kłębowisku żmij". Mauriac powiada ustami swego bohatera: „Straszną stroną starości jest to, że jest sumą całego życia, sumą, w której nie można już zmienić ani jednej pozycji".

„Pamiętnik życia wewnętrznego" napisał Mauriac jako człowiek stary, bo już siedemdziesięcioczteroletni. Jest to wiek, w którym wielu pisarzy, jeśli utrzymało się przy życiu, spoczywa już na laurach lub przeżywa gorycz niespełnionych nadziei. Mauriac zachował niepospolitą żywość umysłu i zdumiewającą wręcz sprawność pióra. Przyjaciel de Gaulle'a i zwolennik jego polityki, ogłosił w ostatnich tygodniach roku 1964 książkę jemu poświęconą, a w cotygodniowych felietonach i zapiskach reaguje piórem na wydarzenia polityczne, społeczne i literackie. „Pamiętnik życia wewnętrznego" nie jest autobiografią w przyjętym znaczeniu tego wyrazu. Różni się on zasadniczo od autobiografii np. Andre Gide'a „Jeżeli nie umiera ziarno". Podczas gdy Andre Gide całą swoją uwagę skupił na opisie zewnętrznym świata (dom, rodzina, podróże, ludzie, miasta), Francois Mauriac koncentruje się na możliwie dokładnym zapisie przeżyć wewnętrznych, wywołanych lekturą, rozmową, czy spotkaniem z pisarzem. Dodajmy nawiasowo, że Mauriac bardzo nie lubi Gide'a, z czym zresztą w swojej książce zupełnie się nie kryje.

Mimo iż autobiografia Andre Gide'a jest bardzo szczera, wolę po stokroć „Pamiętnik życia wewnętrznego" Mauriaca. Mauriac jest pisarzem o żywszym temperamencie i rozleglejszych zainteresowaniach. Pisze w sposób niezwykle precyzyjny, a jednocześnie finezyjnie i z polotem, na kartach swojej książki rozsypując wiele cennych uwag i spostrzeżeń, które dowodzą wielkiej mądrości i wnikliwości pisarza. Jest to spowiedź człowieka, który nie godzi się na wiele rzeczy w naszej epoce, ale który stara się to wszystko zrozumieć. Nie zawsze mu się to udaje. Francois Mauriac nie godzi się na antypowieść, widząc w niej nie wzbogacanie literatury, ale raczej jej ograniczenie i zubożenie. Zabawne, że w tym miejscu Mauriac polemizuje również ze swoim synem, znanym pisarzem, Claude Mauriacem, hołdującym antypowieści. Stary Mauriac pisze: „Co do mnie, uważam, za jedynie prawdziwą taką powieść, do której mam ochotę powrócić, przez którą nie przedzieram się jak przez koszmar". O niejednej z najnowszych powieści francuskich jest zdania, że nie można w nich „zamieszkać". Nie ma drzwi, przez które by się do nich wchodziło, i drzwi, przez które by się wychodziło. Za ostatnią z takich „mieszkalnych" powieści uważa Mauriac „W poszukiwaniu straconego czasu" Marcelego Prousta. Może bierze się to stąd, że — jak pisze sam Mauriac — wyrośliśmy z tej samej epoki i ta sama fala omywała nas swoją pianą.

W „Pamiętniku życia wewnętrznego" Mauriac prowadzi nie tylko dialog z czasem, dialog z epoką, prowadzi również dialog z samym sobą. Próbuje zdefiniować sztukę, którą uprawia i własne życie, które przeminęło. Jeśli ma żal do siebie, to przede wszystkim o to, że niektóre powieści pisał nazbyt pośpiesznie. Dziś, u schyłku życia, widzi, że mógłby je napisać znacznie lepiej.

„Pamiętnik życia wewnętrznego", choć najwięcej miejsca poświęca książkom, daje przecież żywy i barwny obraz czasu, spotykamy w nim wiele znakomitych postaci, spośród których jedną z najciekawszych jest osoba samego autora. Warto po tę książkę sięgnąć i warto ją przeczytać.

Jan Koprowski

ANNA POGONOWSKA

Zjawa w deszczu

Rozpadliny deszczem zaludnione
paprociami Pod chodzącym cieniem
koronkowym pękają strumienie
żyły zimnej urody

A na głazie przebita kroplami
zjawa błyska swego ciała brzegami
ostrym deszczem jawi się cierpliwie
ludne strugi świecą na jej cięciwie

W czasie

Czas mości próżnię bardzo umiejętnie
między żebrami Krzyż we wir zamienia
Ruch bezpowrotnie biegnący promienia
co jeśli wróci — pustkę w posąg zetnie

Słowa zaś, które stoczone kulturą
Zbyt gładkie znaki bez ostrych krawędzi
Piętrzone gwałtem eksplozji promiennej
Z węglów poezji wciąż się osypują

Mój udział

Szyderstwo zjawisk przyjmuję z ochotą
Cóż za lęk uśmiech dreszcz otworzą we mnie
Wzór z nich błyszczący składa się bezbłędnie
Lśni w jego świetle ciemnieję z ochotą

To mała iskra Lecz że płonie czuję
Popiołem który sypie się po dłoniach
Siny popiele siniej w wiatru kołach
Ty zaczerwienisz wichurę

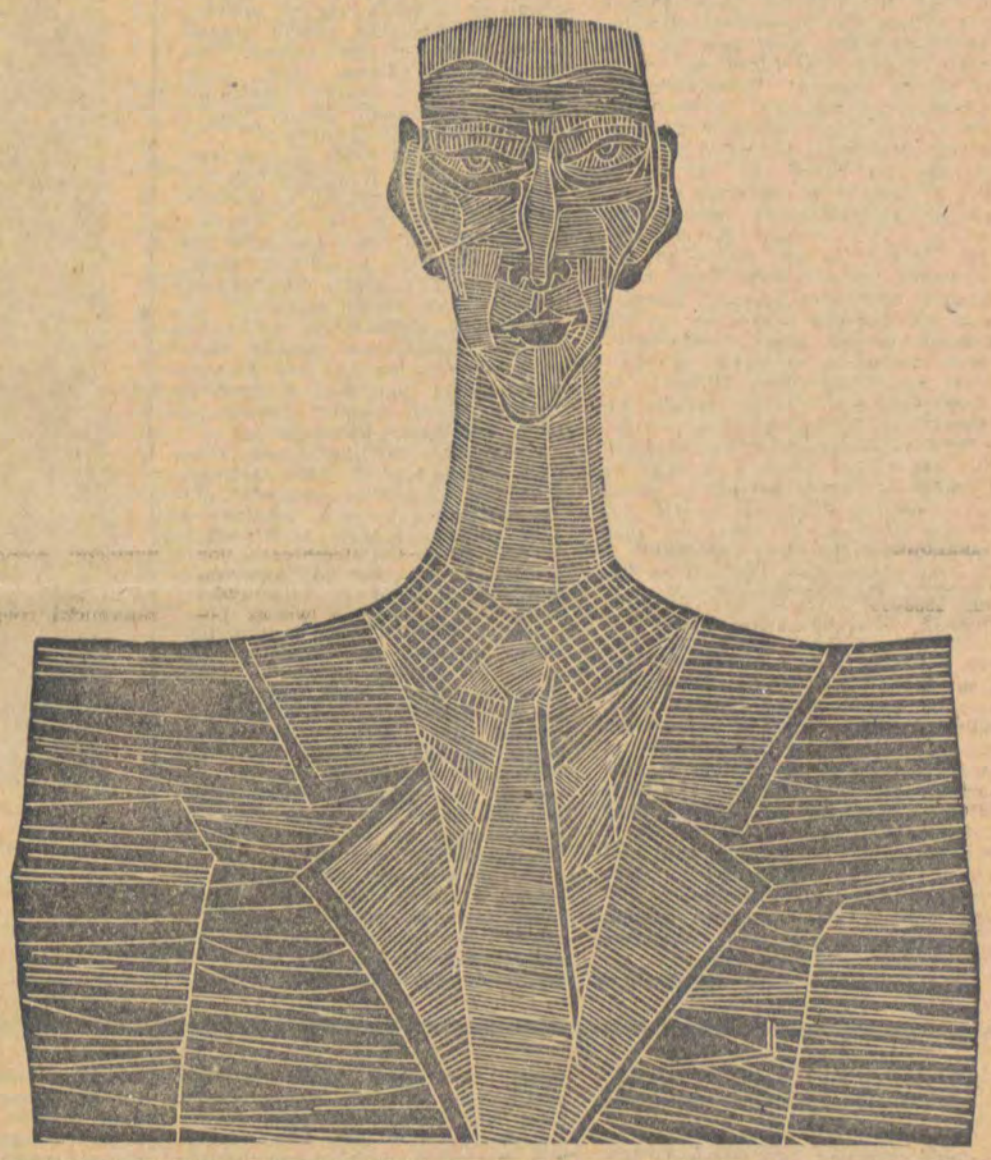

Grafika — Henryk Płóciennik

Półka z książkami

„DYNAMIT"

Czas zaciera w naszej pamięci fakty i obrazy. Przychodzą nowe pokolenia, dla których wspomnienia z okresu walk o wolność, a właściwie o istnienie narodu, to już tylko historia. Dla nich przeznaczono tę książkę, na której kartach rysuje się „żywa historia" tamtych czasów, pisana przez uczestników walk.

Nie dogasły jeszcze zgliszcza po kięsce wrześniowej, gdy zaczęły się tworzyć pierwsze oddziały partyzanckie. Początki były najtrudniejsze. Aby uzbroić oddziały, trzeba było zdobyć broń — na wrogu. Władysław Machejek opisuje, jak pierwszy oddział GL w Krakowskiem, składający się z 6 osób, dysponujących „obrzynkami" i „pukawkami"; zdobywał broń — napadając na posterunki policji granatowej i mozolnie, po kilka kb, po kilka pistoletów, dozbrajał rozrastający się oddział, który przygotowywał się do obrony miejscowej ludności i większych akcji przeciw hitlerowcom.

Znajdziemy tu wspomnienia o dużych bitwach, o zamachach na dygnitarzy hitlerowskich, o wysadzaniu pociągów, odbijaniu więźniów. Uczestnicy walk partyzanckich w Polsce południowej piszą też o wielkich akcjach, m. in. o przekazaniu przez oddziały AK części i planów pocisku V2 do Londynu, choć transport tego wymagał lądowania dużego samolotu, a co za tym idzie, przygotowania lądowiska dosłownie pod bokiem stacjonujących tam oddziałów niemieckich.

Inni członkowie ruchu oporu opisują cieniuteńkie operacje wywiadu partyzanckiego, dzięki którym można było przygotowywać akcje oddziałów bojowych, wielu innych pisze o walkach z polskimi faszystami zgrupowanymi w oddziałach NSZ, o bratobójczych walkach, o likwidacji kolaborantów, którzy zajmowali się szpiegostwem na rzecz hitlerowców.

Wszystkie z zamieszczonych tu wspomnień stanowią pasjonującą, żywą lekturę, przypominają drobne niby fakty, ale takie, które złożyły się na wspaniałą historię walki z okupantem w Polsce południowej. Autorami wspomnień są ludzie z różnych ugrupowań: AL, AK, partyzantki radzieckiej oraz drobnych ugrupowań innych jeszcze orientacji; które za główny cel uznały wyzwolenie kraju spod najcięższej w naszych dziejach okupacji. Dlatego też warto polecać tę lekturę przede wszystkim młodemu czytelnikowi, choć i starzy mogą sobie przy okazji powspominać ten czas grozy i bohaterstwa.

JHW

„Dynamit"; Wydawnictwo Literackie, Kraków; 1964, str. 262, cena 26 zł.

„DŁUGIE LATA SZCZĘŚCIA"

Autora tej powieści: Reynolda Price, polski czytelnik znał dotychczas tylko z kilku opowiadań; publikowanych raczej w prasie aniżeli w antologiach opowiadań amerykańskich. Biografia Price'a też zresztą nie rzuca się w oczy: przekroczył trzydziestkę, był stypendystą Oxfordu (gdzie od paru lat na powrót mieszka), wykładał filologię angielską w Stanach. Na oko — wszelkie dane na kulturalną, przeciętną twórczość literacką.

Ale „Długie lata szczęścia" nie są na pewno powieścią przeciętną, a przejawiająca się w niej kultura literacka nie ma nic wspólnego z uniwersytecką, erudycyjną poprawnością. Jest to książka tak świeża, jak świeżą od początku do końca pozostaje pierwsza (może i ostatnia) miłość bohaterki, młodej dziewczyny, miłość też młoda w zmysłowej urodzie i autentyzmie uczuć, lecz powiekająca się „smugą cienia" smutnej, przecież nie beznadziejnej dojrzałości. Jakże łatwo takie motywy rozmienić na banały, bądź na karykatury (choćby w rodzaju Boy'owej „jedna panna miała dziecko"); nic z tych rzeczy nie znajdziemy w niewielkiej opowieści Price'a: w której spotykają się — lecz nie tłoczą — ludzie bardzo społecznie, statystycznie zwykli, przecież niezwykli w przeżywaniu (razem z autorem i czytelnikiem) radości i bólu własnego, więc jedynego, niepowtarzalnego, szczęścia i nieszczęścia. Chyba dlatego do „Długich lat szczęścia" łatwo wrócić — trudno zapomnieć.

ZP

Reynolds Price: „Długie lata szczęścia". Tłum. Ariadna Demkowska, Czytelnik, 1964, s. 207, cena 15 zł.

OPOWIADANIA J. D. SALINGERA

Któryż z wybitnych pisarzy amerykańskich nie pisze o dzieciach? Można by tu wymienić długi ciąg nazwisk, w których poczesne miejsce zająłby Hemingway, Faulkner, Caldwell, ale przede wszystkim młodsi pisarze amerykańscy z Salingerem i Capote'em na czele.

Zabieg ukazywania świata takim, jaki się rysuje w oczach dziecka, jest bardzo charakterystyczny dla współczesnej literatury amerykańskiej. Salinger często w swych opowiadaniach, a także w wydanej u nas dwukrotnie powieści „Buszujący w zbożu", pokazuje nam rzeczywistość widzianą oczyma dzieci, które buntują się przeciw światu dorosłych — ubogiemu i pozbawionemu fantazji. Bohaterowie jego opowiadań rozpaczają, że zbyt daleko odeszli od świata, który widzieli w dzieciństwie, czy w okresie beztroskiej młodości. Czasem prowadzi to do dramatów.

Inny typ bohatera, to nieprzystosowany kombatant, który nie potrafi znaleźć miejsca w życiu, kombatant, któremu wojna zabrała to wszystko, co stanowi nadzieję człowieka. Ci okaleczeni przez wojnę ludzie są inni niż ci, którzy wojny nie przeżyli, są oni nie tylko poszkodowani, ale bardziej autentyczni dzięki temu, co przeżyli i co widzieli w innych krajach.

Dobrze się stało, że „9 opowiadań" Salingera, jednego z najbardziej interesujących współczesnych pisarzy amerykańskich ukazało się w dużym, 20-tysięcznym nakładzie i świetnym tłumaczeniu A. Glińczanki i K. Zarzeckiego.

JHW

Jerome Salinger: „9 opowiadań", Warszawa, 1964, PIW, str. 230, cena 15 zł.

EWA SIEMIŃSKA

ŻEROMSKI w filmie

Wiele pisało się i mówiło o Żeromskim z okazji setnej rocznicy jego urodzin. Opracowania całego dorobku autora „Popiołów", poszczególnych dzieł czy problemów stanowią już olbrzymią literaturę. Jest jednak jeden problem związany z twórczością pisarza, którego daremnie szukalibyśmy w tym bogactwie opracowań, o którym nie mówi się u nas, a może najczęściej — przyznajmy to — nie wie lub raczej nie uświadamia jego istnienia. I dlatego warto, i dlatego trzeba przypomnieć go polskiemu czytelnikowi. Jest nim zagadnienie związków pisarza z filmem.

Za zgodą Żeromskiego sfilmowano za jego życia „Dzieje grzechu", „Urodę życia" (1921) i „Wierną rzekę" (1922). **„Dzieje grzechu" były pierwszą adaptacją w polskiej kinematografii, zrealizowaną już w 1911 r.!** Co ciekawe, Żeromski oświadczał w 1908 r., iż nikomu nie udzielał pozwolenia i nie zezwoli na przerobienie tej powieści na scenę. A w dwa lata później uczynił dla filmu to, czego odmawiał teatrowi. Wynalazek kinematografu stanowił bowiem dla Żeromskiego tak upragnione połączenie geniuszu i techniki. Zachwyt pisarza dla filmu był zachwytem dla możliwości wyrazowych ekranu, dla jego społecznego zasięgu. Ta idea kina urzekła Żeromskiego tak bardzo, że nie zdołał go odstraszyć jakże niesłychanie niski poziom ówczesnej polskiej kinematografii. Dopiero przyszłość miała ukazać, jak genialną intuicję przejawił Żeromski w swym szlachetnym zapale dla filmu. Niestety, do wykazania tego nie przyczyniła się żadna z adaptacji utworów pisarza. „Film — przeciwko Żeromskiemu" — pod takim tytułem napisał w „Pionie" z 1937 r. artykuł o związkach pisarza z kinematografią Bolesław W. Lewicki. Tytuł ten znakomicie określa istotę zjawiska.

Film polski chętnie sięgał po Żeromskiego, który godził się mimo niepowodzeń na adaptacje swych utworów, żywiąc ciągle nadzieję, że następna będzie lepsza. Ale pisarz łudził się daremnie. Powstające w ten sposób filmy były płytkie, złe, melodramatyczne w najgorszym stylu, realizowane bez kultury i smaku. Były zaprzeczeniem artystycznych osiągnięć pisarza i fałszerstwem ideologicznym. Takie były adaptacje zrealizowane za życia Żeromskiego. Takie były też, niestety, filmy nakręcone po jego śmierci. Film, który czerpał z niego, obracał się przeciwko niemu. Stawał się wobec jego twórczości zjawiskiem pasożytniczym.

Jeśli chodzi o ilość adaptacji, to Żeromski bije rekordy w polskiej kinematografii sprzed roku 1939. Ma ich na swym koncie aż dziesięć. Drugie miejsce zajmuje po nim Gabriela Zapolska: osiem adaptacji. Trzecie — Tadeusz Dołęga-Mostowicz: siedem. Dopiero czwarte — Henryk Sienkiewicz: sześć filmów zrealizowanych w oparciu o jego utwory.

Skąd brała się ta ekranowa popularność autora „Popiołów"? Niedwuznacznej odpowiedzi udziela na to pytanie historyk filmu Jerzy Toeplitz („Powieść na ekranie". „Studium o adaptacji filmowej"): „Żeromski został użyty przez bardzo ruchliwą i obrotną branżę filmową jako magnes służący do ściągania publiczności do kin. (...) Publiczność waliła do kas, ponieważ na kolorowych, krzykliwych afiszach paliły się czerwone, zielone, niebieskie litery STEFAN ŻEROMSKI". W jakie tytuły układały się owe zielone, niebieskie, czerwone litery na afiszach filmowych?

Rok 1911	„Dzieje grzechu"
rok 1921	„Uroda życia"
rok 1922	„Wierna rzeka"
rok 1928	„Przedwiośnie"
rok 1929	„Ponad śnieg"
rok 1930	„Uroda życia"
rok 1931	„Wiatr od morza"
rok 1933	„Dzieje grzechu"
rok 1936	„Wierna rzeka"
rok 1936	„Róża"

Niestety, oprócz nazwiska i tytułu, filmy te nie miały zbyt wiele wspólnego z Żeromskim. **Jego utwory były dla kinematografii jedynie pretekstem. W ekranowych przeróbkach rządziła nimi ciasna tendencyjność, zachłanne dążenie do jak największych zysków.** W nieposzanowaniu praw autorskich adaptacje te zakrawały na skandal. W bezceremonialny sposób traktowano literackie pierwowzory. Realizatorzy na własną rękę dokonywali zmian w fabule i treści ideowej, uzupełniali akcję własnymi dostawkami, „poprawiali" Żeromskiego. Taka była „Wierna rzeka" Leonarda Buczkowskiego z 1936 r., płytka, ckliwa, z dorobionym na własny użytek szczęśliwym zakończeniem. Takie było propiłsudczykowskie „Przedwiośnie" (1928) Henryka Szaro. Reżyser pominął w nim niemal całkowicie cz. III utworu. Wystarczyła mu w zakończeniu niezdarna makieta szklanych domów, na którą z łzawym wzruszeniem spoglądał z drugiego brzegu Wisły Cezary Baryka. I tłum żołnierzy. Piłsudskiego.

Kompromitacją filmu była również „Uroda życia" (1930) Juliusza Gardana. Z „godną podziwu" niefrasobliwością reżyser pominął w niej całkowicie treść t. II. Wprowadził za to w zakończeniu nie istniejącą w powieści rozmowę umierającej Tani z Piotrem Rozłuckim.

Istnym popisem złego smaku, tandety, płytkiej melodramatyczności stały się „Dzieje grzechu" (1933) Henryka Szaro. Czegóż tam nie było! Był dansing, coctail, a nawet rewelersi. Był żerujący na najniższych gustach publiczności wyciąg erotyczno-sensacyjnego wątku powieści. Nie było tylko Żeromskiego. Nie było jego pasji. Zabrakło przejmującej brutalności utworu literackiego. Tej oczyszczającej.

Nie zrażony ową złą passą Żeromskiego w filmie, Józef Lejtes postanowił przenieść na ekran w 1936 r. „Różę". Nie byłoby w tym może nic nadzwyczajnego. Przyzwyczajono już widza do złych adaptacji. Tymczasem właśnie ten film rozpętał burzę. Dlaczego? Obrotni filmowcy postanowili wyeksploatować popularność i sympatię Polaków dla Żeromskiego. Zapowiedzieli „Różę" jako hołd złożony przez naród zmarłemu pisarzowi w dziesięciolecie jego śmierci. Film zaopatrzono w patetyczną dedykację: „Stefan Żeromski napisał historię owych lat żywą krwią natchnienia. Historię grupy bohaterów, która podjęła bój z potęgą caratu, walcząc o prawa człowieka i wolność Polski. Pamięci bohaterów niech będzie poświęcony ten film, niech będzie różą złożoną na grobie wielkiego pisarza". Co kryło się za tą dedykacją?

„Róża" w adaptacji Lejtesa pozbawiona jest całkowicie swojego radykalizmu społecznego. Brak jej czerwoności. Wybielała tak, że o jej autorstwo posądzić by można Sienkiewicza — pisała Leonia Jabłonkówna („Wiadomości Literackie" 1936). Uczyniono z niej szablonowy film historyczno - patriotyczny. Poprzestawiano w nim sceny dramatu, zmieniono porządek kwestii w dialogach, kwestie jednych postaci poprzydzielano innym. Scenarzysta dodał za to własne sceny i własne dialogi, które do reszty zafałszowały utwór. A przecież współpracownikiem reżysera był — jak na ironię — biograf Żeromskiego — Władysław Pobóg-Malinowski!

Jednakże film Lejtesa, jedyny z adaptacji Żeromskiego, zasługuje na uwagę. Pod warunkiem, że będziemy mówić o nim, zapominając o jego literackim rodowodzie. Bo obok scen kiczowatych **są w tym filmie również sceny doskonałe.** Jest świetne, prędkie tempo akcji i filmowy rozmach. Jest dobra kompozycja wnętrz i charakterystyka osób. I znakomita obsada aktorska: Krystyna - Irena Eichlerówna, Czarowic – Witold Zacharewicz, Oset - Stefan Jaracz, Anzelm – Michał Znicz. Choćby dlatego tylko warto przypomnieć ten film polskiemu odbiorcy.

Przerabiano na ekran powieści i dramaty pisarza. Ciekawe natomiast, **że nikt nie podjął się realizacji specjalnie dla filmu napisanego przez Żeromskiego scenariusza pt. „Wieczna fala"**, którego treść znamy jedynie z relacji Anatola Sterna („Wspomnienia z Atlantydy").

* * *

Od wejścia na ekrany ostatniej adaptacji Żeromskiego minęło z górą ćwierć wieku. To zobowiązuje. Co przyniesie nam nowa adaptacja? Jak Wajda upora się z obranym przez siebie pierwowzorem literackim? Co dotrze do nas w ekranowym kształcie z olbrzymiego bogactwa materiału literackiego „Popiołów"? Czy „Popioły" potrafią przerwać złą passę Żeromskiego w filmie? Na te pytania odpowiedzieć może tylko reżyser i zespół realizatorów. My – życzliwie zaczekamy do premiery.

KSIĄŻKI NADESŁANE

TOAST Józefa Hena, Wydawnictwo Literackie Kraków, stron 187, cena zł 10.

KRAKOWSKI ALMANACH MŁODYCH, Wydawnictwo Literackie Kraków, stron 307, cena zł 25.

DRZEWO RODZI OWOC. Tadeusza Hołuja. Biblioteka Powszechna, stron 199, cena zł 10.

POSZUKIWANIE IDEAŁU KULTURY Jerzego Adamskiego, Wydawnictwo Literackie Kraków, stron 145, cena zł 15.

DYNAMIT, z dziejów ruchu oporu w Polsce południowej, Wydawnictwo Literackie Kraków, stron 262, cena zł 26.

SPISKOWCY Władysława Machejka, Wydawnictwo Literackie Kraków, stron 165, cena zł 10.

MYŚLI NIEUCZESANE H. Leca.

ARCYDZIEŁO NIEZNANE A. Kijowskiego.

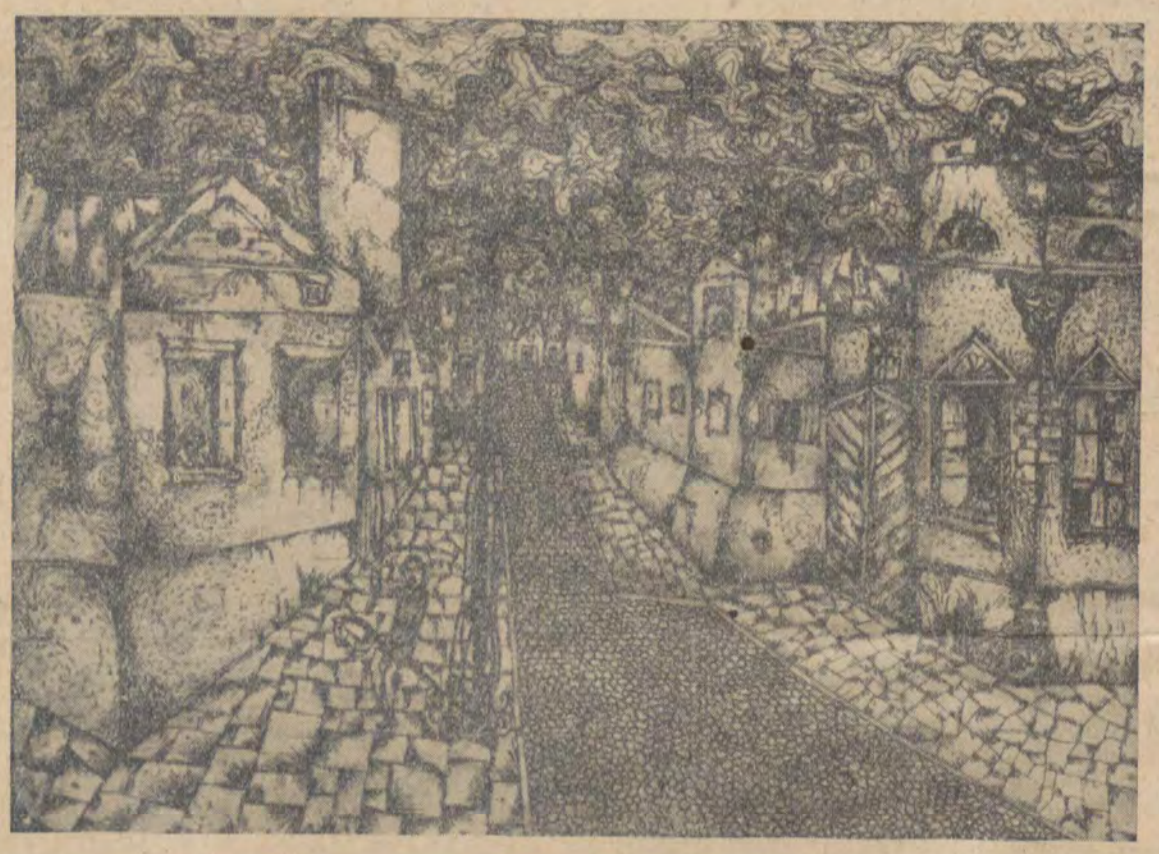

Grafika. Leszek Rózga

UROCZE SZALEŃSTWA DOMOWEGO PTAKA

STANISŁAW KASZYŃSKI

Jednoznaczne formułowanie tzw. idei przewodniej utworu zawsze grozi uproszczeniem. Niebezpieczeństwo wzrasta gwałtownie, gdy usiłujemy wyjaśnić sobie, co chciał powiedzieć np. Mrożek. Skoro zabrnęliśmy w tę okolicę, idźmy dalej. Więc — „Indyk" ukazuje w dwóch płaszczyznach, na dwóch zasadniczych wzorcach osobowych, odmienne pod względem czasu, przestrzeni i treści warianty „kryzysu wartości", właśnie owej „ogólnej niemożności". Pierwszy wariant służy drapieżnemu unicestwieniu postawy romantycznej z całym przynależnym do niej arsenałem realiów i konwencji (to Rudolf i Laura). Natomiast drugi wariant, nakłuwający cieniutkimi igiełkami aluzji tkankę współczesności, obejmuje przede wszystkim działalność Poety, jest unaocznieniem jego postępującego bankructwa, które wywodzi się z pustki i bezmyślności istnienia, a finiszuje w geście kabotyńskiej miłości. Ten wariant ma szerszy plan, bo odbija się jeszcze w postaciach Kapitana, Księcia, Pustelnika i Chłopów. Książę jest zresztą jedyną „pozytywną jednostką" w tym państwie, pragnącą zlikwidować rozprzężenie i zaprowadzić ład m. in. w dziedzinie miłości — bajeczna koncepcja urzędowej Pary Kochanków Państwowych! Zauważmy, jak te warianty nakładają się na siebie, to znów oscylują lub oddalają się raptownie, orkiestrowane zręcznie kaprysem snu albo czujnym instrumentem racjonalisty. Afanasjew, widząc ten ruch przenikania, wyodrębnił i zaakcentował szczególnie „wariant romantyczny". Zdał mu się najważniejszy, prowadzący; zresztą w jego polu, poprzez siłę fascynacji urokliwością romantyczną, dokonuje się ostateczna kompromitacja Poety. Ale reżyser nieco zbagatelizował wątek Poety i to nie dlatego, iż nie doceniał jego znaczenia, jego aktualnej wymowy — za dobrze zna doświadczenia współczesnego intelektualisty, zaznaczone w tej roli. Stało się tak, iż pociągnęły go czysto teatralne walory tekstu i stąd też zupełnie świadomie odsunął Poetę na margines, nie wydobył głębi podszytej misterną ironią jego dyskursu; a odtwórca roli, B. Nowak, pozostał mu posłuszny. W związku z tym szkoda, że w II akcie nie skreślono kilkudziesięciu wierszy. Nużą. Z podobnych względów bocznym niejako torem przemknęła rola Księcia (Z. Zintel), aktorsko retoryczna w łódzkim ujęciu, na które zabrakło miejsca w afanasjewowej koncepcji.

Nie bez powodu rozprawa z reliktami romantyzmu, które raz po raz odżywają w schematach naszego myślenia i postępowania, owładnęła tak bardzo reżyserem. Naprowadza mnie ta słabość na trop jego intymniejszych sentymentów do tej kolorowej rekwizytorni duchów, oazy marzeń, uczuciowości, tęsknot, i pisząc „rozprawa" zapożyczyłem się w innym słowniku. Być może, że ta wrażliwość Afanasjewa na romantyczne bałamuctwa kazała mu rozdwoić Laurę, zaprowadziła go do rehabilitacji starej kochanki w postaci pięknej dziewczyny: nasze ideały zawsze mają jakieś oparcie w rzeczywistości. I niewiele prostuje w tej materii erudycyjny komentarz Afanasjewa zamieszczony w programie, odwołujący się do poważnych skojarzeń historycznych i filozoficznych na kanwie „Indyka". Chciałbym traktować to wyznanie niezbyt serio, a zniewala mnie do tego sam spektakl. Świeży świeżością teatrzyków studenckich. Bo też odezwał się w tym spektaklu Bim-Bom, „Cyrk rodziny Afanasjeff", dosłuchać się można i naoglądać przeróżnych tradycji: i komediancтwa z plebejskiej budy jarmarcznej i ech z pysznych lazzi. Z commedia dell'arte. Wydaje się, że rodzaj emocjonalnej wyobraźni Afanasjewa nie koresponduje tak ściśle z racjonalistyczną wyobraźnią Mrożka, który ułatwia tylko reżyserowi start w świat jego własnej wyobraźni teatralnej. Tą odmiennością wyobraźni Afanasjewa wyjaśniam sobie daleko posuniętą teatralizację łącznie z przełamywaniem „czwartej ściany", tę całą poetycką pstrokaciznę kostiumów, wyszukany zestaw rekwizytów ogrywanych z brawurą (np. gwizdek), to bogactwo pomysłów sytuacyjnych, mimicznych, wizualnych i akustycznych, komponowanych w pyszne układy błazenady i żonglerki. Jeśli Kapitanowi wypadnie być na chwilę koniem, zmienia się w niego do złudzenia, otrzymując za chwacki trucht kostkę cukru; ziewanie odbrzmiewa rykiem krów; kaszel nieszczęśnika powtarzają „zgrywnie" jego partnerzy, itd. Ale mimo to frenetyczna zabawa, rozpętana przez reżysera nie ścisza „morału" „Indyka" Mrożka, ukazuje jedynie jego inne, pogodniejsze rysy: wesołość, jaka udziela się widowni, jest w tym kontekście odmianą zadumy nad groteskowością kształtów i absurdalnością perypetii. Myślę, że w jednej tylko postaci Afanasjew najcelniej uzewnętrznił mrożkową jadowitą parabolę o „nieochocie": w roli Kapitana, któremu z drugiego planu sekunduje tym samym motywem „niemożności" Chór Chłopów, wydobytych zupełnie świadomie, przez zewnętrzną charakterystykę, poza ramy tej rzeczywistości. „W tym widowisku" — pisze reżyser — „zależało nam, aby ukoronować aktora, by był postacią z krwi i kości, barwną, żywą, teatralną, błyszczącą słowem i gestem. Reszta tłem". Rzeczywiście. Dla B. Sochnackiego — reszta jest tłem, wychodzi przed wszystkich partnerów, krystalizując i pokazując w swej grze wszystko, co jest głupotą i powagą, żartem i sentymentem, strachem i bezradnością, odcedzanymi przez koszarową mentalność z przymieszką nihilistycznych trucizn. Sochnacki pokazał nie tylko zewnętrzną groteskowość, ujawnia równolegle „tragedię niemocy" i wówczas kukła, jaką jest w istocie Kapitan, nabiera cech ludzkich, pustoszonych naiwnym optymizmem, kąśliwą drwiną. To w scenie zemsty Poety, który organizuje mu koncert skrzypcowy — pierwsze ogniwo złudzenia, szansa wyrwania się z zaczarowanego kręgu bezsiły, okazuje się zwykłą mistyfikacją, której Sochnacki nadaje jednak jakiś akcent niewiadomej: a nuż Kapitan odzyska wiarę w siebie, stanie się pożyteczny? W tym momencie przypomniałem sobie gogolowskie: „Z czego się śmiejecie?" Może sami podlegamy prawom tej ironii... To pytanie pozostanie pytaniem wielkich moralistów, do których Mrożek nie miałby ochoty (jeszcze) się przyłączyć.

Dopominałem się niedawno na tym miejscu o Mrożka z „polską problematyką". Oto on. Nareszcie Mała Sala PTN zyskuje ten walor, który musi zachować wbrew całemu życiu.

ANDRZEJ BIERNACKI

ŁÓDŹ teatralna 1964

Współczesność jako obszar zainteresowania wymaga specjalnego uwrażliwienia na problematykę bieżącą, wyczulenia na objawy zła społecznego, a przede wszystkim osobistego zaangażowania się w nią pisarza. Sztuk takich, dojrzałych przy tym myślowo i artystycznie, jest mało, arcydzieła nie rodzą się na kamieniu, zobaczmy jak wobec tego teatry łódzkie w r. 1964 wybrnęły z tego dylematu: grać albo nie grać, względnie co grać?

SZTUKI WSPÓŁCZESNE POLSKIE

„MOST" Jerzego Szaniawskiego wystawiono raczej z okazji jubileuszu 50-lecia pracy teatralnej Józefa Pilarskiego. Sama jednak sztuka, aczkolwiek może najmocniej z utworów Szaniawskiego opierająca się czasowi, sama sztuka — przez swój klimat, ładunek dramatyczny, poetykę i psychologizm zdaje się być gatunkiem teatralnym dziś zamierającym.

Jeżeli zaraz po Szaniawskim wspomnimy TEATR MROŻKA, to dlatego że tak właśnie przebiega linia rozwojowa współczesnego dramatu, od sztuki psychologicznej do sztuk o dużym ładunku ironii, satyry, parodii, groteski. Dawno temu, Teatr 7.15 wystawił „POLICJANTÓW", od tego czasu zaległa u nas, koło Mrożka, głucha cisza, aż dopiero teraz Scena Propozycji Teatru Powszechnego dała w reżyserii Józefa Wyszomirskiego „KAROLA" i „CZAROWNĄ NOC", zaś Teatr Nowy „INDYKA" w reż. Afanasjewa. Na ogół opinia koneserów teatralnych jest zgodna pod tym względem, że przy wystawianiu dwóch pierwszych sztuk, reżyser zbyt sztywno trzymał się wskazówek autora, zalecającego realizm ujęcia postaci, tła i działań scenicznych. Przy „Indyku" dla odmiany — powiadają — odszedł reżyser nazbyt daleko od zaleceń Mrożka. Autor „Cyrku Afanasjewa" pokonał autora „Indyka".

W sposób najbardziej dosłowny zaangażowane w polityczne i społeczne zjawiska naszej rzeczywistości są sztuki: „WYBÓR" Jana Pawła Gawlika (Teatr Nowy), dla której reż. Tadeusz Minc znalazł właściwą formę, dobrze, żywo odbieraną przez widownię (świetna rola B. Sochnackiego) i „KTOŚ NOWY" M. Domańskiego (Teatr Powszechny). Sztuka ta pokazuje nowe, dzisiejsze treści w starej szacie produkcyjniaka. Jest to jednak produkcyjniak à rebours, bez bohatera pozytywnego. Wszystkie niemal postaci są ponadto ludźmi małymi, uwikłanymi w swoje i cudze podłości, ci jednak ludzie, stanowiący zespół fabryczny, bronią wartości ludzkich, humanistycznych; wygrywa jednak „bohater" główny (dobra rola L. Niemczyka), mimo że obciążają go wszelkie ujemne cechy suchego technokraty. Kontrowersyjna. Duże powodzenie, gra kilkanaście teatrów w Polsce.

Teatr Ziemi Łódzkiej przypomniał sztukę Jerzego Lutowskiego „OSTRY DYŻUR", która w roku 1955 wywołała ostre dyskusje polityczne; dziś budzi zainteresowanie widza problem moralny, pozwalając mu przeżyć napięcie dramatyczne i swoistego rodzaju moralne katharsis.

Do sztuk ambitnych w autorskim zamierzeniu, ale nie w realizacji literackiej, a także teatralnej, zaliczyć trzeba debiut dramaturgiczny „PIELĘGNIARZY" Wawrzyniaka, wystawiony przez Teatr im. Jaracza (wyróżnienie na corocznym konkursie teatralnym debiutów). Dobra rola Jerzego Przybylskiego.

Przegląd ten wypada zamknąć sztuką „PIOSENKA PRAWDĘ CI POWIE" (Teatr Powszechny) pióra i układu Agnieszki Osieckiej. Ta wiązanka przebojów piosenkarskich starych i nowych, skeczów, monologów, tańców, obrazująca na swój specyficzny sposób dwa dwudziestolecia, międzywojenne i obecne, w ich przekroju historyczno-społecznym, znalazła właściwych wykonawców w zespole tego teatru, prócz może niezbyt dobranego i zgranego baletu. (Nożyczki, ołówek reżyserski. I dykcja!!!).

Współczesność w TEATRZE 7.15 przedstawiały: składanka „ODJAZD 6.55" i sztuka dla młodzieży „GOŚĆ W KOSMOSIE".

POLSKIE SZTUKI KLASYCZNE

Klasykę polską w tym roku reprezentowały utwory: „MARIA STUART" Słowackiego (Teatr Nowy), „WYZWOLENIE" Wyspiańskiego oraz Z. Przybylskiego „WICEK I WACEK", jeżeli coś takiego można nazwać klasyką (chyba raczej klasyczną brechtą). Wyspiański był obok Szekspira i Szwarca jedną z mocniejszych pozycji repertuarowych Teatru Jaracza. Spektakl wyreżyserowany przez Józefa Wyszomirskiego spotkał się z przychylnym przyjęciem recenzentów i przynajmniej tej części publiczności, która Wyspiańskiego odbiera. Reżyser nałożył na aktorów trudne i odpowiedzialne zadanie, stawiając ich w roli współtwórców przedstawienia. Na podkreślenie zasługuje rola Konrada w wykonaniu Józefa Zbiróga.

SZTUKI WSPÓŁCZESNE OBCE

WSCHÓD — problematykę w ogóle współczesnej sztuki radzieckiej zaprezentowały dwa utwory: Leonowa „ZAMIEC" (Teatr Nowy) i Szwarca „NAGI KRÓL" (Teatr im. Jaracza).

„ZAMIEĆ" napisana w pierwszej wersji w roku 1940, niewystawiana nigdzie ze względu na zawartą w niej problematykę, poprawiona i wzbogacona w roku 1960 — mówi o atmosferze lęku i strachu, charakterystycznym dla okresu kultu jednostki. Widoczne wpływy Dostojewskiego. Realizacja sceniczna (reż. Wanda Laskowska) niejednolita, sceny ludowe np. rozbudowane do scen rodzajowych. Najciekawsze role: B. Sochnacki, jako Syrowarow, H. Machulska (Katarzyna), L. Benoit (chłop z kołchozu).

„NAGI KRÓL" Eugeniusza Szwarca, barwny, ale przeładowany widowiskowo, pod zbytnim ciężarem tzw. efektów teatralnych zagubił swoje ostre akcenty polityczne. Ładne zjawisko aktorskie: Alicja Zomer w roli królewny. Jerzy Walczak uderzający łatwością i zdolnością transfiguracji, temperamentem i swobodą sceniczną.

Dramaturgia ZACHODU została w tym roku potraktowana po macoszemu. Bulwarowa sztuczka Anouilha „ZAPROSZENIE DO ZAMKU" (Teatr im. Jaracza) proponuje jedynie niefrasobliwą rozrywkę; w rolach głównych Hanna Małkowska i Krzysztof Chamiec. Płaska komedia D. Turnera „POD WŁASNYM DACHEM" (Powszechny) w brawurowej reżyserii R. Sykały, postawiona na zupełną farsę, zatraciła demaskatorskie ostrze krytyki mieszczaństwa angielskiego. „Marie Octobre" aż trzech autorów J. Robertsa, H. Jeansona, J. Duviviera (Teatr Nowy), mimo umieszczenia akcji w ciekawym tle (francuski ruch oporu) nie wyszła jednak poza ramy kryminału. W uzupełnieniu „Zamach" Snowa (Teatr Powszechny) z ciekawie uchwyconymi cechami środowiska wyższych oficerów, granych interesująco przez M. Nowickiego i L. Niemczyka oraz sztuka A. Guelmy „PIOTR I JA" (Powszechny, potem Nowy) dająca aktorce, Hannie Bedryńskiej możliwości stworzenia wielkiej roli monologu. Zestawmy te pozycje ze sobą: mogłoby się wydać, że istniejący i przedstawiany w latach ubiegłych teatr zachodni, ostry, demaskatorski, dojrzały literacko i teatralnie, teatr wielkich nazwisk Francuzów, Anglików, Amerykanów, Szwajcarów — nagle przestał istnieć.

Teatr Jaracza wprowadził na scenę sztukę fińską Helli Wuolijoki „KOBIETY Z NISKAVOURI" w reż. Ewy Bonackiej, scenografii Soboltowej, z głównymi rolami Hanny Małkowskiej i Krzysztofa Chamca. Teatr Nowy przygotował na koniec grudnia schillerowską „PASTORAŁKĘ", w reż. Janusza Kłosińskiego i scenografii Józefa Rachwalskiego.

KLASYKA OBCA

Z rosyjskiej klasyki Teatr im. Jaracza wznowił nie graną chyba tu nigdy Gorkiego „WASSĘ ŻELEZNOWĄ" w reżyserii Marii Wiercińskiej (II nagroda za reżyserię na festiwalu sztuk rosyjskich i radzieckich). W roli głównej bohaterki, kobiety konsekwentnie okrutnej w dążeniu do osiągnięcia swojego celu, nie cofającej się przed zbrodnią, świadomej swojej klęski — Maria Kozierska. Ewa Mirowska za rolę Natalii uzyskała nagrodę na festiwalu katowickim.

Młody aktor i reżyser St. Breydygant zaproponował Teatrowi Nowemu i wystawił w nim adaptację jednego z wcześniejszych utworów Dostojewskiego „WIECZNEGO MĄŻONKA", sztukę psychologiczną, obnażającą do dna z właściwą Dostojewskiemu zdolnością do wiwisekcji — psychikę ludzką, ambiwalencją uczuć, oświetlającą zakamarki ich najtajniejszych źródeł pozornych sprzeczności, jak — czułości i sadyzmu, przyjaźni i jednocześnie nienawiści. W roli oplątanego kompleksem zazdrości Trusockiego — bardzo dobry Zygmunt Zintel; dekoracje Zofii Wierchowicz — adekwatne.

Rok Szekspirowski teatry łódzkie skwitowały: Teatr im. Jaracza „WIECZOREM TRZECH KRÓLI", będącym osiągnięciem scenograficznym Józefa Rachwalskiego, reżyserskim Marii Wiercińskiej i aktorskim Ewy Mirowskiej, Alicji Zomer i Wróblewskiego (Chudogęba). Ciekawy w robocie aktorskiej, swój własny — Jerzy Walczak, jako Błazen.

Teatr Powszechny wystawił „ROMEO I JULIĘ". Te dwie postaci znalazły swoich szczęśliwych odtwórców, autentycznie młodych, w Poli Raksie i Jerzym Kamasie, którym nie starczyło jednak siły i środków aktorskich na końcowe, refleksyjne partie roli. Teatr Ziemi Łódzkiej partnerował pozostałym scenom w tym jubileuszu — „POSKROMIENIEM ZŁOŚNICY"; od Teatru Nowego oczekiwaliśmy zapowiadanego Marlowe'a „EDWARDA II", skończyło się, jak do tej pory, na zapowiedziach.

Mniej żywotny okazuje się w ostatnich latach i recepcji widza Molier (Teatr Powszechny — „SZKOŁA ŻON", Teatr 7.15 — „LEKARZ MIMO WOLI"). Zasadniczą rolę w tym odczuwaniu jakiejś nieaktualności Moliera, stanowi chyba fakt, że żadna z granych tu sztuk nie jest szczytem molierowskiego teatru, jakim jest np. nie starzejący się w psychologicznej demaskatorskiej pasji „Świętoszek", czy bardzo dzisiejszy, neurastenicznv, bezkompromisowiec i antyoportunista — Mizantrop.

Ze sztuki krajów demokracji ludowej — jedynie węgierski „HAMLET NIE MA RACJI" Margity Gaspar (w Teatrze Powszechnym), którego współczesna problematyka, dramat utraty wiary młodego chłopca w autorytet i uczciwość partyjnego ojca, zbudowany został na szkielecie „Hamleta" szekspirowskiego. Scenograf — A. Radzinowicz, makietą zdemolowanego pokoju z witrażowymi szybami, mającą nasuwać skojarzenia z Elsynorem, podkreślił te związki z Hamletem, królewiczem duńskim.

W ogólnym rzucie zanotować należy spadek zainteresowania klasyką — polską i obcą, wzrost zainteresowania sztuką współczesną — ze strony teatrów i na pewno ze strony młodszych widzów, ale wpływa na to chyba także może sposób odczytywania klasyki. W całości repertuaru teatrów łódzkich uderza brak jakiejś koordynacji repertuarowej; odnosi się to np. tak do Roku Szekspirowskiego, w którym nie oglądaliśmy żadnej, tzw. wielkiej pozycji, jak i do repertuaru zachodniego, reprezentowanego przez najbardziej blahe, jakie można było zaproponować utwory teatralne.

Drugie półrocze, a zwłaszcza ostatnie miesiące 1964 r. zaznaczyły się wzrostem ambicji teatralnych, pewne pozycje będące już na scenach i zapowiedzi pozwalają spokojniej spojrzeć w rok 1965.

CO SIĘ DZIEJE?

Pisaliśmy niedawno o ZMS-owskim kabarecie „Nietoperz". Że ciekawy, ambitny i że wyjeżdża do Wrocławia na Ogólnopolski Przegląd Amatorskich Teatrów Małych Form.

Dziś już „Nietoperz" powrócił do Radomia. W laurach. Przywiózł dyplom i specjalne wyróżnienie jury za wysoki poziom artystyczny, a inż. Janusz Niezabitowski — nagrodę za reżyserię i autorstwo tekstów do programu.

Przy okazji warto wtrącić, że sympatyczny „ssakoptak" wciąż jeszcze nie ma własnego gniazdka w rodzinnym mieście i daje występy w kawiarni „Stylowa". W pierwszym rzędzie życzymy więc „Nietoperzowi" własnego przytułku. No i oczywiście — dalszych, pomyślnych lotów!

* * *

Jest jeszcze u nas wiele miejscowości, do których rzadko dojeżdża kino czy teatr i gdzie mieszkańcy nie cierpią, broń Boże, na przesyt proponowanych imprez kulturalnych. Takie miejscowości nazywamy czasem „białymi plamami", a mówimy o nich z troską i niepokojem. Nie chcemy takich plam.

Są w takich miejscowościach remizy strażackie, czy domy kultury, których gospodarzem w przeważającej liczbie przypadków jest straż pożarna. Co się w nich dzieje? Przeważnie nic, lub zgoła niewiele. Ot, czasem zebranie, częściej potańcówka, rzadziej — występuje „jakiś" zespół artystyczny. A kiedy Wojewódzki Zarząd Kin wystąpił z propozycją zakładania kin w tych placówkach, zdarzyły się wypadki niezrozumiałe. OSP w Dankowie (pow. Łódź), Dobrzelinie (pow. Kutno) czy Praszce (pow. Wieluń)... odmówiły udzielenia swojego lokalu dla tych celów. Nie pomagają tłumaczenia i oferty konkretnej pomocy materialnej. Dzielna straż wie lepiej. Kino nie jest potrzebne i tyle. A czy można „robić kulturę" na siłę?

* * *

Jeśli już o kinach mowa, trzeba też powiedzieć o drugiej stronie medalu. W ciągu ub. roku udało się otworzyć dodatkowo 12 kin wiejskich i to w tych powiatach, gdzie ilość miejsc na tysiąc mieszkańców była najniższa. Chodzi o powiaty: wieluński, poddębicki, sieradzki, kutnowski, pajęczański, wieruszowski i łowicki. W porównaniu z rokiem 1963 podniósł się więc wskaźnik miejsc w kinach z 9,2 do 10,7 w skali wojewódzkiej. Uruchomienie nowych kin pozwoliło też na rozszerzenie sieci obsługi kinowej o dalsze 60 miejscowości.

(H. K.)

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Przedostatni teatr TV srodze rozczarował miłośników tej poniedziałkowej imprezy. Wprowadzający audycję komentator z góry usprawiedliwiał się z powodu wyboru tekstu. Kabaret uzasadniając eksperyment tym, że „Przygoda z Agnieszką" to widowisko współczesne i „ciepłe", a więc, w sam raz dla milionowych widzów. Otóż, „Agnieszka" ani nie była współczesna, ani „ciepła", tylko drętwa i wydumana od początku do końca. Nie mamy nic przeciwko współczesnym utworom dla „szerokiego widza", ale żądamy dobrych tekstów, nie w rodzaju: „Na każdego przychodzą chwile rozmemłania". (Co to w ogóle znaczy „rozmemłanie"?) ani potwornych banałów w rodzaju: „Wszystko, co miłe, szybko się kończy". Taka „literatura" przynosi wstyd polskiej TV. Reżyser też się nie spisał: celebrował kiepską ramotę i przedłużał niemożliwie „nastrojowe" sceny: Zbocze z „dymiącym" śniegiem pokazano nam siedem razy!

WTOREK

Towarzystwo Przyjaciół Łodzi złapało wiatr w żagle i coraz skuteczniej popularyzuje wiedzę o dorobku kulturalnym naszego miasta. Ostatnia pozycja wydawnicza „Teatr pokoleń" będzie zapisana w bilansie Towarzystwa jako zdecydowany plus. „Teatr pokolenia" to Teatr Nowy z czasów dyrekcji Kazimierza Dejmka. Autorka Maria Czanerle spisała nader interesująco historię teatru od pierwszego przedstawienia „Brygady szlifierza Karhana" do ostatniego, „Historyi o Chwalebnym Zmartwychwstaniu". Książka jest bogato ilustrowana.

ŚRODA

Wystawa „Dwudziestolecie Polski Ludowej w plastyce" otwarta w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku im. Sienkiewicza wywołała ponoć od momentu jej zaprojektowania ożywione dyskusje. Z dwóch kontrowersyjnych możliwości — pokazać dorobek artystycany plastyków w dwudziestoleciu, lub — zilustrować dwudziestolecie w plastyce — zwyciężyła koncepcja „ilustracyjna"! W rezultacie, wielu zasłużonych twórców, którzy mają w dorobku prace nie związane ściśle z XX-leciem, ale powstałe w XX-leciu, nie wystawiło swych obrazów. Po co, na Picassa, było zawężać ramy ekspozycji, której zadaniem powinno być — zademonstrowanie dorobku plastyków w XX-leciu? A rezultat? Żałosny! Gdy się wchodzi na salę, człowiek otrząsa się z przerażenia i przeciera oczy! Co to? Czy to zły sen? Czy jesteśmy w roku 1964? Same produkcyjne malowidła! Wieże ciśnień, rusztowania, bramy fabryczne... Zwłaszcza ta ostatnia — okropna! Przy tym, wystawa jest monochromatyczna, płótna o ciemnych barwach. Z tłumu agitek malarskich i „produkcyjniaków" zdołałem ocalić w pamięci parę dzieł, które znalazły się tam chyba... cudem! A więc, przede wszystkim, urocze i pełne poezji „Miasteczko emerytów" Leszka Rózgi, piękny „Pejzaż" Aleksandra Kromera, oryginalny „Wieczór" Zenona Wasilewskiego i urzekająca rzeźba Wacława Kondka „Łączyca" (ceramika). W grafice jest trochę lepiej, więcej sztuki, mniej propagandy: świetnie skomponowany linoryt Henryka Płócienника „Kamienie" i akwaforta Rózgi „Liryczna serenada" przodują wśród wielu cennych prac.

CZWARTEK

Pierwsza tegoroczna Polska Kronika Filmowa trwała dwadzieścia minut i była najnudniejsza ze wszystkich, jakie dotąd oglądaliśmy. Zamiast dowcipnych i pomysłowych sprawozdań z kraju i ze świata, do których nas przyzwyczajono, PKF uraczyła nas „piłą" nie z tej ziemi: przeglądem osiągnięć Kroniki Filmowej w Dwudziestoleciu. Na zakończenie — pokaz maszyn samopiszących w halach Agencji Prasowej (ten numer, o ile się nie mylę, zdjęto jednak wkrótce, żeby nie nadużywać nerwów i cierpliwości publiczności kinowej). No, cóż, każda liszka swój ogon chwali; ale co my zawiniliśmy, że musieliśmy przez dwadzieścia minut skręcać się formalnie z nudów?

PIĄTEK

Mam przed sobą pięknie wydany zbiór wierszy Mariana Piechala „Miasto nadziei" ze słowem wstępnym prof. Stefanii Skwarczyńskiej i reprodukcjami Hiilera, Wegnera i Strzemińskiego. Książka ta jest radością dla oczu bibliofilów i przeżyciem dla miłośników poezji. Weźcie ją do ręki, radzę, i czytając wsłuchajcie się w rytm wierszy Piechala, w ich urzekającą melodię i kadencję.

Nieruchomo przez godzin parę
na kształt karnej stoimy warty
przy warsztatach, karmionych smarem,
na żelazie i parze wspartych
My, rezerwuar własnej przemocy,
prąd, energia niewyczerpana —
pracujemy od rana do nocy
i od nocy znowu do rana
(„W rytmie maszyn")

SOBOTA

Kreacja — według Słownika Języka Polskiego PAN-u — to „sposób odtworzenia przez aktora jakiejś postaci w utworze scenicznym (zwykle o sposobie odtworzenia wybitnym, oryginalnym)". Taką bezsporną kreacją jest rola, jaką gra Bohdana Majda w sztuce Becketta „Radosne dni" odtwarzając postać Winnie. Aktorkę wywoływano po przedstawieniu w Teatrze Nowym na polskiej prapremierze sztuki — trzykrotnie. Równie znakomitą rolę kreuje partner Majdy Tadeusz Minc w roli Williego. Tym razem, jak za najlepszych czasów Teatru Nowego, wszystko „grało": tekst, wykonanie aktorskie, reżyseria (Tadeusz Minc) i scenografia (Henri Poulain). Posępne i wieloznaczne — jak każde wielkie dzieło — „Radosne dni" są osiągnięciem teatralnym i wydarzeniem artystycznym.

NIEDZIELA

Czy zauważył Pan, Panie Redaktorze, że Notatnik wziął kurs na ton polemiczny? Czemu to przypisać, zapytuje Pan? Otóż, zaniepokoiła mnie „letniość" sądów o kulturze i sztuce w sprawozdaniach prasowych. Każda recenzja teatralna, literacka czy plastyczna jest tak wyważona i wymierzona, że odnosi się wrażenie „klajstrowania". Niedawny przykład: sprawozdania z nieudanej Wystawy w Ośrodku Propagandy Sztuki. Czy w imię szacunku dla twórców oraz celem ożywienia tonu felietonów nie należałoby zerwać z tamtą złą praktyką i pisać grzecznie, lecz mocno prawdę, dopuszczając obronę i polemikę ze strony osób zainteresowanych? Bo inaczej nasze recenzje będą jak biblijne sadzawki, płytkie i martwe. I ludzie nie przestaną narzekać, że jednak o sprawach sztuki mówi się w Krakowie i Wrocławiu pełniejszym głosem niż w Łodzi.

ARYSTARCH

* PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIĄGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

RAY BRADBURY

uśmiech

W mieście, na placu, o godzinie piątej rano, ludzie stali w kolejce. Z oddali słychać było pianie kogutów. Ale nie płonęły ognie i tylko wśród rozwalonych domów, przyczajona, chwiała się mgła, która powoli z pierwszymi promieniami słońca, około godziny siódmej, zaczęła się rozpraszać. Wzdłuż drogi, po dwoje, po troje zaczęli gromadzić się ludzie. Był to dzień targowy, dzień uroczystości.

Chłopiec stał tuż za dwoma mężczyznami, którzy prowadzili głośną rozmowę. Było cicho i dlatego ich głosy brzmiały z podwójną siłą w chłodnym powietrzu. Chłopiec tupał nogami i swoim oddechem usiłował ogrzać zaczerwienione dłonie. Spoglądał na stojących mężczyzn i na długą kolejkę, która zaczynała się daleko przed nim.

— Ej, chłopcze, co ty tu robisz o tak wczesnej porze? — spytał stojący za nim mężczyzna.

— Zająłem sobie miejsce — odpowiedział chłopiec.

— Po co zajmujesz miejsce innym?

— Zostaw chłopaka — powiedział ten z przodu, odwracając się.

— To tylko żarty — mężczyzna położył rękę na głowie chłopaka, który zrzucił ją energicznym ruchem. — Dziwne, że on tutaj stoi zamiast leżeć w ciepłym łóżku.

— On jest miłośnikiem sztuki, zapamiętaj to sobie — powiedział ten, który bronił chłopca. Nazywał się Grigsby. — Jak ci na imię?

— Tom.

— Tom będzie opluwał razem z innymi, prawda, Tom?

— Pewnie!

Stojący w kolejce ludzie zachichotali.

Jakiś mężczyzna sprzedawał gorącą kawę w potrzaskanych filiżankach. Tom spojrzał w tamtą stronę i zobaczył stojący na ogniu stary zardzewiały garnek, z którego wydobywała się para. Ale to nie była prawdziwa kawa. Robiono ją z pewnego gatunku jagód, które rosły na łące za miastem. Filiżanka takiej kawy kosztowała jednego pensa i kupowano ją tylko dlatego, żeby się rozgrzać. Nie było wielu kupujących, nie wszyscy mieli pieniądze.

Tom patrzył w to miejsce, gdzie kończyła się kolejka znikająca za rozwalonym przez bombę domem.

— Podobno ona się uśmiecha — powiedział chłopiec.

— Tak, uśmiecha się — mruknął Grigsby.

— Mówią, że jest namalowana farbą olejną na płótnie.

— To prawda i dlatego zastanawiam się, czy to jest oryginał. Słyszałem, że oryginał był malowany na drzewie.

— Podobno ona ma cztery sta lat.

— Albo więcej. Prawdę mówiąc, nikt nie wie, który teraz jest rok.

— 2061!

— Podobno, ale to kłamstwo. Może już przeszło trzy tysiące lat, albo pięć tysięcy. Nikt nic nie wie. Wszystko trwało bardzo krótko i oto teraz po tej katastrofie pozostały nam jedynie gruzy.

Posuwali się wzdłuż resztek zimnych murów rozłożonych po obu stronach ulicy.

— Kiedy ją zobaczymy? — spytał zniecierpliwiony Tom.

— Za kilka minut. Ogrodzili ją, żeby ludzie nie podchodzili za blisko. Pamiętaj, Tom, żadnych kamieni. Nie wolno w nią rzucać.

— Oczywiście.

Słońce było już dość wysoko i zrobiło się gorąco. Mężczyźni zaczęli zdejmować swoje brudne płaszcze i zasmarowane kapelusze.

— Po co stoimy w tej kolejce? Żeby pluć? — spytał Tom.

Grigsby nie spojrzał na niego, głowę miał zwróconą w stronę słońca.

— Widzisz, Tom, jest wiele powodów. — Szukał papierosa, ale nie znalazł. Ten nerwowy odruch powtarzał się u niego dość często. Tom, to z nienawiści, z nienawiści do wszystkiego, co ma jakiś związek z przeszłością. Powiedz, Tom, jak możemy żyć w takich warunkach: rozwalone miasta, drogi zniszczone przez bomby, a połowa pól świeci nocą, nasycona radioaktywnością. No i co, to chyba wystarczy, prawda?

— Tak...

— Człowiek jest taki, że nienawidzi wszystkiego, co miało jakiś związek z katastrofą, która doprowadziła go do upadku. Czasami robi to bezmyślnie, ale taki jest człowiek.

— Trudno jest znaleźć teraz coś, czego nie darzylibyśmy swoją nienawiścią — powiedział Tom.

— Masz rację! Wszystko co stworzyli ludzie, którzy kiedyś rządzili światem. I dlatego tu jesteśmy, zmarznięci, z pustymi brzuchami. Nasze mieszkania to — pieczary, a jedyna nasza przyjemność to święto, takie jak dzisiaj.

I wtedy Tom pomyślał o uroczystościach, jakie miały miejsce w ciągu ostatnich lat. Wtedy wszyscy przynosili na plac książki, rzucali na stos i palili je. Upijali się, krzyczeli i śmiali się. A miesiąc temu też było święto. Przyciągnięto na rynek ostatni samochód i zrobiono losowanie. Każdy, komu szczęście dopisało, miał prawo uderzyć w ten samochód olbrzymim kowalskim młotem.

— Oczywiście, Tom, pamiętam. Roztrzaskałem wtedy przednią szybę, słyszysz? Boże, jakie to przyjemne uczucie!

Tom słyszał jak sypało się szkło do połyskującego wnętrza.

— A Billowi Hendersonowi przypadło wtedy w udziale zniszczenie motoru. Ładnie to zrobił, bardzo ładnie!

Ale najlepsza zabawa była z tą fabryką samolotów, przypomniał sobie Grigsby.

— Boże, ale była radość, kiedyśmy ją wysadzili w powietrze! — powiedział Grigsby. — A potem tak samo załatwiliśmy drukarnię i cały sprzęt wojenny, rozumiesz, Tom?

— No jasne.

Było już południe. W nagrzanym powietrzu zaczął unosić się odór spalonego miasta, a dokoła zniszczonych domów leżały resztki niepotrzebnych sprzętów.

— Jak pan myśli, czy to jeszcze wróci do nas?

— Co? Cywilizacja? Nikt z nas tego nie chce!

— Trochę by się przydało. Było w niej kilka przyjemnych rzeczy — powiedział jeden z mężczyzn.

— Przestań się wygłupiać — krzyknął Grigsby. — U nas nie ma dla niej miejsca!

— Nigdy nic nie wiadomo — powiedział mężczyzna. — Znajdzie się jakiś człowiek z wyobraźnią i znów odtworzy wszystko tak jak było przedtem. Wspomnisz moje słowa.

— Nie — warknął Grigsby.

— A ja ci mówię, że tak będzie. Przyjdzie ktoś, kto ma duszę wrażliwą na piękno. Być może, że to będzie inna cywilizacja, która zapewni nam pokój.

— Ale ta skończyła się wojną!

— Następna może skończyć się inaczej.

Wreszcie znaleźli się na placu. Jakiś mężczyzna jechał na koniu w stronę miasta. W ręku trzymał kawałek papieru. Środek placu był ogrodzony linami. Tom, Grigsby i inni zbierali w ustach ślinę. Czekali odchyleni do tyłu z szeroko otwartymi oczyma. Tom czuł jak mu mocno bije serce. Gorąca ziemia grzała jego bose stopy.

— No, Tom, zaczynamy!

Czterech policjantów stało w rogach utworzonych przez liny. Pilnowali, żeby nikt nie rzucał kamieniami.

— Na co czekasz, Tom? — zachęcał Grigsby.

Tom stał przed obrazem i przyglądał mu się.

— Tom, pluj!

Miał sucho w ustach.

— Nie bój się!

— Ona... jest PIĘKNA!

— Nie chcesz, to ja zrobię początek. — Grigsby plunął i ślina błysnęła w słońcu. Kobieta z portretu uśmiechała się pogodnie, tajemniczo, uśmiechała się do Toma, a on patrzył na nią, czuł jak bije mu serce i słyszał jakieś dziwne granie.

— Ona jest piękna — powtórzył.

W kolejce zapanowała cisza. Ludzie przestali krzyczeć na Toma, który zbyt długo stał przed obrazem. Wszyscy patrzyli na jeźdźca, który był już zupełnie blisko.

— Kto to jest? — spytał cicho Tom.

— Ta z obrazu? Chyba Mona Liza. Tak, Mona Liza.

— Mam dla was pewną wiadomość — powiedział jeździec. — Decyzją władz, dziś w południe portret wystawiony tu na tym placu zostaje oddany w ręce mieszkańców, którzy będą mogli wziąć udział w zniszczeniu...

Tom nawet nie zdążył krzyknąć, kiedy tłum odepchnął go i z przeraźliwym rykiem rzucił się w stronę portretu. Przestraszeni policjanci uciekli, a ludzie piszcząc, ze wzniesionymi drapieżnie rękami już dotykali portretu. Tom leżąc na ziemi zdołał chwycić strzęp obrazu, podniósł się, znowu upadł pod naporem falującego tłumu, wreszcie czołgając się uciekł z samego środka wyjącej tłuszczy. Jakaś kobieta klnąc wpychała do ust kawałki rozerwanego płótna, a mężczyźni z wykrzywionymi twarzami rozłamywali ramę.

I tylko Tom stał spokojnie na tym placu, przyciskając do piersi rękę, w której trzymał kawałek płótna.

— Ej, Tom! — krzyknął Grigsby.

Tom odwrócił się i płacząc pobiegł zrytą bombami ulicą, na pola, przez strumień, ciągle trzymając rękę ukrytą w zanadrzu.

Dopiero o zmierzchu dotarł do małej osady. Cicho otworzył drzwi zniszczonego domu. Słyszał miarowe oddechy śpiących rodziców, braci i sióstr.

— Tom! — zawołała matka.

— Co?

— Gdzie byłeś? — warknął ojciec. — Jutro się z tobą rozprawię.

Ktoś kopnął go. To był brat, który musiał za niego wykonywać pracę w gospodarstwie.

— Idź już spać — powiedziała matka.

Jeszcze jedno kopnięcie.

Tom położył się wstrzymując oddech. Zapanowała cisza. Jego ręka w dalszym ciągu była przyciśnięta do piersi. Dłuższy czas leżał z zamkniętymi powiekami. Wreszcie otworzył oczy. Przez okno zaglądał księżyc, który oświetlał Toma swoim bladym, zimnym światłem. I dopiero wtedy Tom rozwarł dłoń, nasłuchując oddechów śpiących, którzy leżeli obok niego.

Dokoła panowała cisza, nad którą świecił księżyc.

A tam, na jego dłoni był Uśmiech.

Tom patrzył i myślał: Uśmiech, cudowny Uśmiech.

Przełożył z angielskiego

ROMAN GORZELSKI

Fraszki jana Czarnego

KOGO...

Można zrobić karierę,
trzeba wiedzieć ino,
kogo zaprosić na wódkę,
a kogo na wino.

OBRONA

Niejednego wariata
chciałbym wziąć w obronę:
Najgorzej, gdy manie
nie są urojone.

* PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIĄGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

Lewym okiem

MAŁY PRZYKŁAD WIĘKSZEJ SPRAWY

Są takie pomieszczenia, niestety nader liczne, na widok których smutek człowieka ogarnia i nie chce się ani głowy prosto trzymać, ani paznokci czyścić. Przeważnie są to miejsca pracy — i to wcale nie tymczasowe, improwizowane, tylko właśnie takie, gdzie ktoś spędza przez kilkadziesiąt lat wszystkie swoje słoneczne dni, pachnące bzem i mokrym asfaltem poranki, mroźne i srebrne popołudnia, przypuszczam, że ten ktoś albo nienawidzi swojej pracy, albo dawno skapitulował i zestroił się z otoczeniem na tę samą nutę beznadziejnego niechlujstwa, brzydoty, absolutnej niewiary w sens ulepszania czegokolwiek na tym najsmutniejszym ze światów.

A teraz ilustracja do wyłożonej jak wyżej tezy. Ilustracja powinna być ostra, wyraźna i jednoznaczna. Nie moja wina, że takim cechom najbardziej odpowiada i najgładziej ciśnie się pod pióro przykład z branży kolejowej. Ta branża nie ma prawa wyłączności na obskurne miejsca pracy. Ale tę branżę widzi bardzo wielu ludzi z kraju i ze świata.

Wejdźcie do przechowalni bagażu na pewnym dworcu w Łodzi. Na największym dworcu, ale nazwy wymieniać nie będziemy. Co to jest, to, przy czym siedzi starszy, urzędujący tu funkcjonariusz? Lepiący się od pleśni wrak rozbitego biurka, porżnięty, z wyżartymi przez próchno szczerbami, straszący rozdziawionymi wnękami na miejscu niegdysiejszych szuflad, pełnymi zmiętych szmat i papierów... Sklecone byle jak z byle jakich desek regały widocznie nie są wygodne, skoro przyjęty na przechowanie plecak kładzie się niefrasobliwie na brudnej, potrzaskanej podłodze, a narty — opiera o ścianę wiedząc, że za chwilę z hałasem się przewrócą. Na zasuwanych wrotach naklejona na stałe wielkim mażnięciem pędzla arcypolska kartka, wypisana niezbyt pewną ręką zmęczonego człowieka: „Wychodzę na chwilę. Zaraz wracam". Informacja na pewno pożyteczna; trochę tylko mało elegancka w wyglądzie. W guście całości. Całości, oświetlonej słabiutką żarówką, mrocznej, chłodnej jak loch, odpychającej. Gdy odbieram stąd swoją ładną, nową walizkę, mimo woli ulegam wrażeniu, że lepi się tak samo jak te wrota, gruchot udający biurko, gruba rękojeść prastarego stempla i daszek u czapki funkcjonariusza.

Trochę lepiej wygląda sprawa na drugim z łódzkich dworców. Lepiej, bo do przechowalni mało kto tutaj trafi. A jeśli trafi — to mu bagażu nie przyjmą. Taki przepis, powiedzą, i już. Mianowicie, że bagaż musi być bezwzględnie solidną walizką, zamkniętą na klucz. — „bo potem pan powie, że coś zginęło". Mają rację. Trudno przy zdawaniu i odbiorze sporządzać protokolarnie remanent zawartości każdej paczki. Trochę dziwi, że nigdzie na świecie takich zastrzeżeń nie mają; ale to bardzo przyjemnie czasem trochę się dziwić.

Jeszcze lepiej jest na eleganckim warszawskim śródmieściu, gdzie przechowalni nie ma w ogóle. Ponieważ zaś natura nie znosi próżni, więc jest w pobliżu przechowalnia prywatna u portiera w Polonii, za windą, gdzie nie sprawdza się zamknięć i okuć i przyjmuje nawet pudełka cukiernicze z pączkami. Z rana można tam się jeszcze dostać, później trudno (a może, panie Redaktorze, nie mówić o tym, bo a nuż ktoś wyciągnie nie ten wniosek, że trzeba by pomyśleć o przechowalni na dworcu, tylko ten, że nie wypada tolerować placówki ogromnie pożytecznej, ale prywatnej?).

Zmęczonemu, staremu człowiekowi byłoby chyba przyjemniej stemplować kwity na prawdziwym, ludzkim stoliku i chować pieniądze do prawdziwej szuflady. Narzędzia pracy powinny być miłe ręce; inaczej są narzędziami tortur. Trzeba na to pieniędzy? Odrobinę. Ale — słowo daję — mam sąsiada, który kupił sobie nowe meble i od roku nie może pozbyć się starych. A wśród tych starych jest solidne, zdrowe jak dąb, dębowe biurko. Bardzo ładne. Sąsiad je pewnie porąbie, choć obu nam będzie się przy tym serce krajało. Komisy nie chcą, prywatni stolarze nie chcą, a instytucje nie mają prawa kupić niczego za grosze ani w komisach, ani prywatnie. Rąbmy więc, sąsiedzie, niech szlag trafi! Dwa komplety na raz w domu to za dużo. A tam gdzie nie ma — niech nie będzie.

ĆWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 3927/65, N-3.